ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 30 września 1934 r. | Nr. 40

Adolf Nowaczyński

Malraux w Moskwie

ET TOUT ÇA LIT?

Pojechał na ten zjazd literacki razem z Jean Richardem Blochem: pilotował ich, cyceronował i infiltrował Ilja (Muromiec) Erenburg. Ze „znakomitości" europejskich przybyli jeszcze Martin Andersen Nexo, Louis Aragou, Toller i jakieś jeszcze pokątniejsze postacie. Rarytasem i osobliwą osobliwością zjazdu była Chinka, chińska komunistka, dziewczę kilkunastoletnie, do niedawna studjujące w Berlinie, debiutantka literacka Chuan-Lang-Czi, której powierzono ważną rolę reprezentantki „pięciuset miljonów" katowanego proletarjatu chińskiego.

Kiedy Malraux wchodził na salę, gdzie było zebranych coś ze dwadzieścia tysięcy literatów z Eurazji i z Azji, miał podobno przerażony zawołać: Et tout ça écrit? Odpowiedziano mu, że tak, że samych Wielkorusów piszących jest 1.535, Ukraińców 206, Gruzinów 158, Armeńczyków 90, Białorusinów 100, poczem jeszcze idzie 30 nowelistów Czuwaszów, 20 komedjopisarzy z Tadżikistanu, 40 liryków Uzbeckich etc. etc. Et tout ça écrit.

Dom książki sowieckiej liczy pięter 26.

Dziennie wychodzi drukiem 60 tysięcy tomów. Nowa monografja o Gorkim liczy 600 stron (to dosłownie) (co można o Gorkim na 600 stronach?).

Tłumaczy się z obcych piśmiennictw (wyjaśniał Erenburg Malraux) wszystko. I ludy republik radzieckich czytają wszystko. Świeżo wydano dziesięć tomów Goethego, starohiszpańskie nowele Cervantesa, „Facecje", starowłoskie Bracciolinego... I to wszystko w Sowietach czytają. Ale jeżeli jeszcze z innych piśmiennictw europejskich przebiera się i dobiera, to z francuskiej literatury tłumaczy się literalnie nie tylko całe tomy, ale całe tonny.

Wyszły Pamflety Marata, ale wyszły i Pamiętniki Talleyranda, siedem tomów Flauberta i sześć tomów Prousta, cały Stendhal i cały France. I to wszystko jest w mig rozchwytywane i na śmierć zaczytywane, wychodzi z kursu w strzępach. Merimeé (M. E. R. I. M. E. E.) został na stare lata po śmierci popularnem nazwiskiem i w Charkowie i w Tambowie; Carmen odśpiewują autentyczni Cyganie, coprawda pod reżyserją towarzysza Goldblatta (a kapelmistrz toże). „Disraeli" Maurois-Herzoga tłumaczony. Celine'a tłumaczyła towarzyszka Elsa Triolet (sic!). Na repertuarze zimowym stary, zapomniany w Paryżu melodramat anarchisty Pyata: „Les Shiffoniers de Paris" (r. 1847) ostatnio zapowiedziane tłumaczenia nowych książek Bendy, Romainsa, Guehenno, Braibanta, Ramona Fernandeza, Valéry, Cremieux i całego szeregu wielkich „Prometeków", jak ich tam nazywają.

ET TOUT ÇA ÉCRIT?

Można sobie teraz wyobrazić, jak oszołomiony i olśniony był André Malraux. Et tout ça lit? Tak, to wszystko pochłaniają w Sowietach. Ale nie tylko się czyta. Równocześnie przerabia dla teatru i dla kin. Na dowód czego zawarto z paryskim gościem natychmiastowy układ. Rewanż za wizytę i reklamę; La Condition Humaine" tłumaczy i przerabia na scenę Erenburg i wystawia Meyerhold, podczas kiedy na film przerabia Eisenstein, a muzykę pisze sam Prokofjew, toże Prokofjew.

Można sobie teraz wyobrazić, jak olśniony i oszołomiony był André Malraux, kiedy z Blochem odjeżdżał, odprowadzany na kolej przez Eisensteina, Meyerholda, Erenburga, Prokofjewa, Sobelsohna, dalej przez B. Lewina (szefa wydawniczej assocjacji „Lip") przez Pasternaka, Kirszona, Kolcowa, Babiela, Bezimieńskiego, Marszaka, dalej takich samych „Ukraińców": Kulika i Kirpotina, reprezentanta ludów syberyjskich Goldberga (dosłownie) i Ginzburga, autora scenicznego reportażu „historycznego" o „szlachcicu polskim"... Dzierżyńskim. Czy można się dziwić teraz zachwytom Malraux, gdy będzie opowiadał, jak to szczęśliwe dziś ludy republik radzieckich zaczytują się w „Bukolikach" Vergilego, oklaskują w teatrze „Volpone" Ben Johnsona, wchłaniają Rollanda, lubują się w Romainsie, a z niecierpliwością czekają na obiecany przekład Martin du Garde'a: „La Vieille France"?

PALACZ OKRĘTOWY.

Ilja Muromiec-Erenburg opisuje pierwsze początki ekstazy Malraux w ten sposób:

„Jechałem sowieckim statkiem z Londynu do Leningradu. Ze mną jechał francuski pisarz André Malraux. Zabawiał się z kapitanem. Jeden z palaczy okrętowych zapytał go:

„Jak wam się podoba towarzyszu Malraux powieść „Fałszerze" André Gide'a?

...Widziałem jak francuski pisarz patrzył na palacza dumnym wzrokiem, a ja cieszyłem się z tego, jak oto w oczach tych ludzi realizują się takie wspaniałe bajki! A potem André Malraux przyjechał do Moskwy. Zwiedzał fabryki. Robociarze rozmawiali z nim o Stendhalu, Majakowskim, Puszkinie i Babracu. Komsomolec z fabryki „Szarykopodszipnik" pytał go o poematy Pawła Valery...

Obywatelu Durand (Dupont?), pan uczęszczał do Sorbony, ale czy pan co wie o waszym poecie Pawle Valérym"?...

Takiem ironicznem zapytaniem kończy Erenburg swoje kawały, swoje chwytki, swoje fishing, swój połów paryskich pisarzy. Można sobie teraz wyobrazić oszołomienie, olśnienie, rozczulenie André Gide'a i Pawła Valéry na myśl sama, że oni stosunkowo bardzo mało popularni w szerokiej Francji, znani tylko właściwie prasie, czytani przez kilkanaście, czy kilkadziesiąt tysięcy intelektualnej elity paryskiej i kosmopolitycznej nagle i nadspodziewanie „zabłądzili pod strzechy", stali się ulubieńcami szerokich mas pracującego ludu w Sowietach... że palacze na okrętach, robotnicy we fabrykach zaczytują się w autorze „Si le Grain ne meurt!"... Szybko te mity i te legendy rozejdą się we wszystkich paryskich środowiskach i koterjach, klikach i kapliczkach literackich. Do jakich rozmiarów dorośnie ten palacz okrętowy, w wolnym czasie zaczytujący się w autorze „Króla Kandaulesa".

MY POLACY - BIEDACY...

I cóż teraz my Polacy-biedacy możemy przeciwstawić, i z czem my możemy konkurować, co my przedstawiamy... rynkowo za interes dla takich literackich paryskich wielkości, jak panowie-towarzysze Gide i Malraux, no i jak wogóle omal oni wszyscy?

Przez lat piętnaście czy siedemnaście właściwie ani jeden z nich nie raczył zawadzić choćby o Polskę i wstąpić w nasze niskie progi. Niekiedy aż smutno się robi, że tak wojażują po całym świecie francuskie klerki, zwiedzają wszystkie kontynenty i kraje nie tylko egzotyczne, a jakoś ani jeden nie zaciekawił się wskrzeszoną sojuszniczą Polską, jej ludźmi i jej krajem. Skąd, bo nie czerpali swych tematów tak czarujący pisarze, jak Morand, tak interesujący jak Benoit, tak aktualni zawsze jak bracia Tharaud, a z sojuszniczej Polski dosłownie żaden, ani jeden czołowy romancier, ani jeden podróżnik literackiej rangi, ani jeden publicysta pierwszej klasy.

Poprostu jakby omijali, omal jakby sabotowali. Do Moskwy przez Polskę przejeżdżali często, jak przez most lub nawet przez tunel, nie wychylając nawet głowy z okien sleepingów. Palestynę Syjońską odwiedziło stosunkowo bardzo wielu, zaskarbiając sobie maleńkiemi tomikami wielką i dźwięczną wdzięczność. Myśmy zaskarbić sobie nawet ich przelotnego turystycznego zainteresowania jakoś nie zdołali. Ostatni właściwie wielki pisarz francuski, który przejeżdżał przez Polskę był... Balzac. I ten sam jedyny, który się Polską i Polakami głębiej interesował. Od tego czasu pauza, która trwa właściwie już coś bezmała sto lat.

ZDAWAŁO SIĘ...

Po wybuchu i nastaniu Polski zdawało się nam wszystkim, że pokolei będziemy gościć tu jednego pisarza po drugim, że będą bankiety dla Caillaveta, dla de Flersa, Verneuilla, Kistemackersa, Bourdeta, że do obozu narodowego zjedzie Maurras, do katolików Mauriac, do socjalistów Margueritte, do Nalewek Maurois recte Herzog. Romains i Pagnol byli tak świetnie grywani i wystawiani w Warszawie, że ich wizyt można było oczekiwać ze stuprocentową pewnością. Wizytowali przecież na swe premiery i Wiedeń i Pragę...

Tymczasem nic z tego. Ani Warszawa po r. 1926 (po maju), ani Warszawa przed majem nie miała jakoś dla pisarzy paryskich nic fascynującego, nic magnetycznego, nic pociągającego. Tak, tak smutne lacrimae rerum.

Teraz zaczął się znów jakiś wielki ciąg w stronę bliskiego Wschodu. Po wytwornym także i—pisarzu Herriocie, po Cocie, po ministrze i też ostatnio rozsławionym Bonnecie, rozpływającym się w ekstazach w „Le Petit Pharisien", jadą śmiałe bas bleu André Viollis, czy Ella Maillart. A potem piszące małżeństwo Cremieux - Schreiber rozdziela swe entuzjazmy objektywnie w ten sposób, że pan Schreiber wpada w szał zachwytów nad Ameryką Roosevelta i Morgenthana, w jej ostatniej fazie (w Illustration), a madame Schreiber (neé Cremieux) panegiryzuje republiki radzieckie w „Journal le Moscou".

Nie wybierają się jakoś w tamte strony ani sędziwy 70-letni Romain Rolland z willi Rolland w Villeneuve (Suisse), świeżo poślubiony komunistce Rosjance, Marji Michajłownie Kudaszewie. Ani też jakoś nie wybiera się rzetelny, autentyczny, z dawien dawna komunista Henri Barbusse, bylej „Clarte" organizator.

KRÓLOWA SABA

Młody Malraux pojechał tam chętnie i odrazu.

Niedługo chyba kusili go Erenburg, Bloch, Schreiber, Cremieux, i Excremieux. Wielki to talent, ale reklamiarz i spryciarz też niecodziennej miary. Nawet wśród paryskich komercjalnych intelektów indywidualność w arrivizmie niedościgniona. Jako autor z „Dernier Empereur" nikomu był nieznany. Częsta dziś u paryskich klerków nostalgie de la Barbarie zapędziła go więc aż do Arabji... (Harabia) i to Południowej, pustynnej. Arabia deserta. Kiedyś tam dotarł jeden z Halevych! (1870). Malraux oczywiście aeroplanem z pilotem Molinierim. W 10 i pół (dziesięć i pół) godzin robiąc po 200 klm., przeleciał całą! No i przez ten czas jednak zdołał błyskawicznie odkryć stolicę królowej Saby. Królowa Saby była kochanką króla Salomona. Odkrył Sabę, odkrył ogrody Saby, i ruiny miasta marmurowego i z cmentarza zdołał naliczyć 2000 grobowców, więc i zdjęcia kinowe porobił. Odkrycie ruin stolicy królowej Saby roztelegrafowała Agencja Hawasa (toże Ullman) na cały świat. Wprawdzie zgasił go za te „odkrycia" i fałszowaną reklamę Saby uczony podróżnik, prof. Beneyton i tak zdemaskował bluff, że nie zostało z kaczki fantastycznej ani piórka, ani strzępa.

Wizyta Malraux w Moskwie i owacyjne przyjęcie w Sali kolumnowej dawnego Szlacheckiego Klubu należy traktować też jako rodzaj, czy odmianę odkrycia Saby. Jest w tem dużo idealizmu (sui generis), ale jest też i big business.

O komercjalizacji literatury francuskiej napisał całą ciekawą rozprawę Henri Massis. Twórczość stała się tam w Paryżu także gałązką industrji. Powieść, poemat, dramat jest także artykułem handlowym, towarem na export. Pożąda tedy i domaga się wielkich rynków zbytu.

NIE MOŻNA SIĘ DZIWIĆ

Nie można się więc zbyt epatować tem ani obawiać, że w Paryżu rosną czerwone muchomory, jak po deszczu, po złotym deszczu Danae. I nie należy się dziwić, że codzień zaciąga się któraś z celebrites do t. zw. Moscoutierów, czego nie należy mieszać z dawnymi Muszkieterami króla Jegomości.

Toteż, jak nie można się dziwić obrotnemu i młodemu Malraux, tak też i nie należy dać się zaskoczyć ewolucjom i „awatarom" starego Gide'a. Perwersyjne kalwinisko zawsze było naturą bluszczową. Zawsze był duchowym ambasadorem zagranicznych mocarnych nowalij. Raz się bluszcz owijał koło potężnego kolosu Dostojewskiego, raz egzaltował przepięknie kult Conrada, (którego jest moralną i duchową antypodą), raz prześlicznie lansował naszego Wojtkiewicza, to znowu Oskar Wilde był bożyszczem... byle być jak najdalej i najwyżej nad „foirą" i nad literackiemi kramami, kramarzami i faux-monnayers.

A czy tam rzetelny bolszewik Barbusse „pluje" na takiego krezusa konwertytę bez jednej uncji socjalnego zmysłu przez lat 60 egzystującego, czy na Kremlu słusznie kpią sobie z takich apostołów z „kościanej wieży" (słoniowa kość), to już szermetrowi Gidowi obojętne i „żemanfiszne"... Nie będzie jego tasiemcowych monologów Hybrydycznych (obojnactwo) nadal czytywał Paryż (ingrata patria), ale będą zato zaczytywali się robociarze w Stalingrodzie i hajcerzy (palacze) na statkach. I tak swą relatywną nieśmiertelność asekuruje duplikat France'a dla potomności. I odtąd żyje w iluzji, ba jest głęboko przekonany, że dzięki optowaniu za komunizmem i akcesowi do Moskoutierów, będą go czytali jeszcze i za lat dziesięć... Szczęśliwy iluzjonista!

Nasz rynek zbytu dla zawsze świetnych wyrobów i wytworów paryskich jest i za mały i za biedny. Królowa Saba też tu swojej stolicy nie miała. Do odkrywania niewiele. Kawioru niema wcale. Nadto wszystkie szadcheny rajfurzą Paryżanom z pominięciem Polski odrazu białokamienną Moskwę. Jedyny nasz egzotyzm, to cadyki z Góry Kalwarji i ze Sadogóry. Ale choćby dla nich samych opłaciłoby się i do Polski sojuszniczej się zabłąkać. Powieść na tem tle mogłaby w rewanżu przynieść i nagrodę Goncourtów i Legję i dać patent do nieśmiertelności.

Więc możeby jednak p. Bloch namówił, czy naraił któregoś z szermetrów? Par exemple...

Bronisław Komierowski

W obronie zmarłych

Natrafiłem niedawno na artykuł p. Adama Czartowskiego: „Cyprjan Norwid a Sobiescy". Na ten temat napisano już dużo rzeczy, mniej lub więcej potrzebnych. Nie zabierałbym też głosu, gdyby nie szczególny nacisk, jaki autor kładzie na naukowy charakter swego wystąpienia, dochodząc jednocześnie do wniosków, uwłaczających pamięci szeregu zacnych ludzi.

Pracy naukowej stawia się pewne wymagania ścisłości, metody i dokumentacji, tem surowsze, im wynik ma większe znaczenie. Fakty, poruszone w artykule, są mi dobrze znane, osoby, które autor wymienia, znałem albo osobiście — o ile dożyły moich czasów — albo ze słów bezpośrednich świadków i dokumentów rodzinnych. Czuję się zatem w prawie zakwestjonowować i naukowość metody i jej wyniki.

W jakim celu autor swój artykuł napisał? Czy podaje jaki rewelacyjny szczegół, dotyczący rodzinnych stosunków poety, czy odnalazł jaki nieznany dokument? Nie. O pokrewieństwie Norwida z Sobieskimi przez babkę, z domu Sobieską, wiemy już dobrze. Szczegóły o Sobieskich w os. ich pokoleniach także są znane. W końcu ubiegłego roku sam podałem dokładne dane o ostatnich Sobieskich w Czasie i w Dniu Polskim. Wreszcie genealogja Sobieskich jest już dokładnie opracowana.

Tu nastręcza się uwaga. Autor twierdzi, że korzystał z oryginału drzewa genealogicznego Sobieskich — twierdzenie to muszę podać w wątpliwość. Oryginał, zatwierdzony przez Radę Koronną w 1788 r., był w posiadaniu Zofji Sobieskiej, córki Michała. W latach 70-tych Zofja Sobieska posłała go bratu, Sewerynowi, do Belgji. Seweryn, emigrant z 31 r., służył w wojsku belgijskiem. W czasie wyżej wspomnianym zażądał od siostry dokumentów, stwierdzających jego wysokie koligacje, dla otrzymania od rządu belgijskiego jakiejś dotacji. Nie zdaje mi się, aby cenny dokument mógł wrócić do kraju. Seweryn był żonaty z Belgijką, potomstwa męskiego nie zostawił i wkrótce potem umarł. W kraju zostało kilka kopij, jedną z nich zapewne miał autor w ręku.

Z tego źródła, a także z Akt Heroldji, podaje niektóre szczegóły o przodkach babki poety i jej rodzeństwie — czem się niebawem zajmiemy. Dowiedzmy się tymczasem, że Norwid źle się orjentował w genealogji domu Sobieskich, a także, że był dumny z pokrewieństwa z tym domem. I tu, zdaje się, jest punkt ciężkości artykułu.

Autor stara się dowieść, że Norwid nie miał racji być dumnym, ponieważ między jego babką i królem Janem III nie było bezpośredniej łączności, a przodkowie babki niczem się nie odznaczyli.

Czy duma Norwida była jedynie snobizmem — któż dziś słusznie oceni?

O dumie rodowej trudno jest mówić. Trzeba to uczucie mieć, aby je zrozumieć. W pojęciu szlacheckiem duma rodowa była jedną z podstaw moralnego oblicza. Co się składało na jej treść, jakie walory przodków potomni czcili pamięcią, o tem zboku sądzić nie można. Jednym z kanonów dumy jest wspólność rodowa — plamy na herbie, zarówno jak blaski, zdaleka padają. Wspólne nazwisko oznaczało wspólną krew — słowo o dużej treści—a dalej wspólne tradycje i wspólne gniazdo — wszystko słowa, które do dnia dzisiejszego pogubiły znaczenie.

Dlatego gałąź szlachecka rodu Sobieskich uważała łączność swoją z linją królewską i odbicie blasków tej linji za rzecz całkiem prostą, za swoje przyrodzone prawo. I tak ta sprawa przedstawiała się w opinji współczesnych — świadczy o tem wiele szczegółów, zachowanych w tradycji rodzinnej.

Do tematu przodków Norwidowej babki, tematu, jak widzieliśmy, pełnego subtelności, autor przystępuje z wielką odwagą i — z pustemi rękami.

Ma przed sobą drzewo genealogiczne, wyczytał w niem tytuły urzędów mężów, wypisał cały szereg panieńskich nazwisk żon, ani się domyślając, co te nazwiska znaczą, — i wygłasza sąd: żenili się w miernym stanie, nie odznaczali się ani zaszczytami, ani bogactwem, „ani osobistemi zaletami", a nieraz trzymali się klamki pańskiej.

Ta jedna „klamka" świadczy, że autor słabo się orjentuje w ówczesnych obyczajach. Cały zresztą sąd, z cytowaniem rodów, całkiem sobie nieznanych, z pozbawieniem osobistych zalet szeregu ludzi, o których się nic nie wie — można różnie kwalifikować, tylko już nie naukowo.

Ale jest gorzej jeszcze.

Z rodzeństwa babki poety autor zajął się bardziej szczegółowo osobą najstarszego brata, Michała. Podaje jego służbową karjerę — karjerę wcale ładną: od kaprala za Kościuszki do pułkownika za Rewolucji. Szczegóły wyjęte są z Akt Heroldji i opatrzone numerami fascykułów — to jest strona naukowa. Ale konkluzja wnet opuszcza grunt naukowy, aby swobodnie przejść do dziedziny sensacji. Autor nie waha się twierdzić, że Michał Sobieski był szpiclem ks. Konstantego, opierając się na wzmiance w pamiętniku Józefa Krasińskiego, czyli na plotce! Autor zdaje się nie wiedzieć, że w owych czasach żarły się z sobą partje nie gorzej niż dzisiaj, a oszczerstwo było bronią znaną i nieskąpo stosowaną. Autor widzi potwierdzenie krzywdzących pogłosek w porewolucyjnej karjerze M. S. (doszedł do stanowiska członka Heroldji i Radcy Stanu). Wielu zacnych i dzielnych ludzi pozostało po Rewolucji na służbie państwowej i doszło do wyższych stanowisk. I wielu kalumnia nie oszczędziła, choć pracowali z większą korzyścią dla kraju, niż kłócąca się emigracja w Paryżu. Dokumentacja tego rodzaju jest całkiem w stylu naszych odbronzowników — i tyleż jest warta.

Krzywdząca opinja odnosi się do czasów, znacznie poprzedzających Rewolucję. Po wybuchu Rewolucji z takimi panami, na których ciążyły słuszne gravamina, załatwiano się krótko. Tymczasem Michał Sobieski w grudniu 30-go r. przydzielony jest do Głównego Sztabu, a wkrótce potem awansowany na pułkownika. Autor powiada, że to dlatego, iż grywał w karty z Chłopickim. Trzebaby dojść do wniosku, że to była epoka samych łotrów. Przed takim wnioskiem, mam nadzieję, każdy się cofnie.

W szeregu przodków, którym autor w czambuł odmówił zalet osobistych, stoi jeszcze brat Michała, Ignacy Sobieski, dziedzic Korytnicki. Byłem w Korytnicy w 30 lat po śmierci Ignacego — majątek był już wówczas w trzecich rękach. Zdumiała mnie cześć, jaką otoczona była pamięć „zalet osobistych" dawnego dziedzica w całej okolicy, od sąsiednich chłopów aż do żydów węgrowskich. Piękna treść dla dumy rodowej.

Nie rozumiem tej gorliwości, z jaką autor stara się przytłumić blask rodowy Sobieskich, a zwłaszcza odgrodzić linję szlachecką od łączności z gałęzią królewską, nietylko na dziś, ale i w przyszłości. Jeżeli chce odebrać Norwidowi powód do chełpienia się pokrewieństwem, to trzeba przyznać, akcja jest spóźniona.

Na tem polu jednak z nikim spierać się nie będę. Gotów jestem zamknąć na klucz i własne wspomnienia i tych trochę pożółkłych szpargałów, świadków przeszłości. Uważam, że rzecz jest bez znaczenia dla literatury i dla wielbicieli Norwida. Dopóki jednak żyję, nie dam szarpać pamięci ludzi, którzy już sami obronić się nie mogą.

Marjan Reutt

Bierdiajew o komunizmie

Sylwetka Bierdiajewa rysuje się mocno na tle żywego ruchu umysłowego, jaki rozwinął się po wojnie w krajach zachodniej Europy. Zajmuje on w tym ruchu miejsce w pewnym sensie wyjątkowe, gdyż jest jedynym świeckim myślicielem na miarę europejską, reprezentującym kierunek religijny w powojennej literaturze filozoficzno - socjologicznej. Można powiedzieć, że Bierdiajew jest jednym z najciekawszych myślicieli współczesnych, którego wpływy rozciągają się na całą elitę kulturalną Europy. Huxley, Keyserling, Coppola, Maritain i cały szereg innych wiele zawdzięczają rosyjskiemu filozofowi. „Nowy, wspaniały świat" Huxley'a ta najlepszą satyra na przesadny racjonalizm współczesności nosi motto zaczerpnięte z „Nowego średniowiecza" i zawiera tendencje idące w podobnym kierunku. Popularność Bierdiajewa na Zachodzie wynika z sugestywnej i głębokiej wiary, którą są przeniknięte wszystkie jego utwory i z przedziwnej logiki jego metafizycznego patrzenia. Ciekawe jest, że słynna polakożercza książka Hessego „Partenau" opiera się o poglądy mistyczne Bierdiajewa, który bezwątpienia wywarł duży wpływ na formowanie się idologji hitlerowskiej. Mistyka rosyjska doskonale godzi się z mistyką pangermańską i służy do wzmocnienia tendencyj wrogich w zasadzie słowiańszczyźnie. Jest to jeden z paradoksów współczesności.

NOWE ŚREDNIOWIECZE

W powodzi literatury europejskiej o charakterze historjozoficznym wybiła się na pierwsze miejsce książka Bierdiajewa „Nowe Średniowiecze". Jej zawdzięcza Bierdiajew swoją sławę i popularność na Zachodzie i dzięki niej my znamy rosyjskiego myśliciela, niestety, tylko z nazwiska. „Nowe Średniowiecze" nie było tłumaczone wcale na język polski tak, jak nie tłumaczono nic Keyserlinga, Ferrero, Unamuna, Massisa, Maritaina, Spenglera i t. d. Zagadnienia, które były przedmiotem dyskusji na Zachodzie przeszły w Polsce bez echa, a miejscowa „elita" wolała studjować Lindsaya. Dobrze to nie świadczy, ani o naszym wydawcy, ani także o czytelniku.

W „Nowem Średniowieczu" postawił Bierdiajew zagadnienie współczesnego kryzysu kultury jako przejście do nowej epoki rozwojowej, w której ludzkość wróci do dawnych ideałów życia duchowego i odpowiednio do tego zmieni formy współżycia na bardziej odpowiadające owym ideałom. Na czoło zagadnień wysuną się problemy religijne, które podporządkują sobie całokształt życia społecznego. W nowej epoce wróci surowa dyscyplina — wewnętrzna i mocne związanie człowieka z otoczeniem społecznem. Wrócą te formy życia, które były w średniowieczu i dzięki, którym ludzkość mogła zdobyć trwałe podwaliny moralno - społeczne. W „Nowem Średniowieczu" znajduje najpełniejszy wyraz katolicka doktryna uniwersalizmu. Świat stanowi jedną rozumną i celową całość, której początek i koniec znajdują swoje uzasadnienie we wszechogarniającej mądrości Bożej. Sens historji polega na realizacji myśli Bożej w dziejach. W ujęciu tem przejawiła się w całej pełni skłonność Bierdiajewa do mistycyzmu i głęboka wiara w Boga, który ma realizować rękoma człowieka prawdę i dobro w stworzonym przez siebie świecie.

Ostatnio wydano w Paryżu nową książkę Bierdiajewa „Christianisme et Réalité Sociale"*). Znalazła się tam polemika Bierdiejewa z podstawowemi „prawdami" marksizmu. Wyjaśnione zostały duże wątpliwości związane z mytem materjalizmu dziejowego, który wystąpił na tle polemiki jako kierunek obarczony grzechami wieku niekonsekwencyj i błędów. Styl Bierdiajewa lapidarny, mocny i agresywny. Wywody proste i jasne. Książka pisana szczerze i z przekonaniem pozostawia niezatarte wrażenie.

*) Nicolas Bierdiaeff. Christianisme et Réalité sociale. Ed. „Je sers". Paris. 1934.

MARKSIZM I RELIGJA

W Rosji Sowieckiej odbywa się na wielką skalę eksperyment, którego konsekwencje trudno jest nawet próbować przewidywać. Usiłują tam zbudować królestwo Boże bez Boga na ziemi. Odbywa się rugowanie generalne duszy ludzkiej. W imię czego dokonywa się to wszystko? W imię proletarjatu, zgodnie z doktryną Marksa.

Marksizm — centralne w pewnym sensie zagadnienie epoki, tam w społeczno - gospodarczej rzeczywistości znalazło swoje ostateczne sformułowanie i urzeczywistnienie.

„Marksizm — mówi Bierdiajew — usiłuje być koncepcją uniwersalistyczną, integralną, odpowiadającą na wszystkie podstawowe zagadnienia i nadającą sens samemu życiu. On jest jednocześnie polityką i moralnością, nauką i filozofją. On jest nową religją usiłującą zastąpić chrześcijaństwo. Prawdziwi marksiści są, ze swego typu, żarliwymi dogmatykami: dalecy są oni od sceptycyzmu i krytycyzmu jako wierzący w system dogmatów". Na tem tle rysuje się nam wyraźnie fanatyczna postać wyznawcy nowych prawd, wyposażona w ogromną dynamikę człowieka wiary. W tych warunkach rozumie się odrazu tempo sowieckiego życia i fantastyczne plany „piatiletki". Wiara tych ludzi buduje nową Rosję.

Marksizm zatem jest nietylko kwestją społeczną, wywołaną ekonomicznym stanem warstwy robotniczej, niezdrowym stosunkiem wzajemnym kapitału i pracy, ale jest przedewszystkiem kwestją religijną. Marksizm, to bunt materji przeciw duchowi. Nie uważa się on za przejściową kategorję historyczną, wywołaną biegiem procesu dziejowego, ale uważa się za absolutną i ostateczną formę bytu społeczeństw ludzkich, za królestwo wieczystej doskonałości i szczęśliwości . W tem tkwi największy błąd i największe jego kłamstwo. Słusznie tedy mówi Bierdiajew, że w podstawach marksizmu tkwi fałsz i obłuda. Myśl Marksa zamyka się w ciasnem kole formuł, a ideową podstawa marksizmu — to niewiara w Boga, w nieśmiertelność duszy i w swobodę oraz niezależność ducha ludzkiego. Cechy te podchwycone przez Bierdiajewa znajdują swoje sformułowanie w pismach Marksa i Engelsa. Ten ostatni wprost powiada: „Istotna jedność świata polega na jego materjalności". Tak, marksizm nie uznaje ani Boga, ani duszy. Istnieją materja i duch. Główną przyczyną powstania wszechświata są przekształcenia, jakie się dokonały w łonie materji. Dzięki tym przekształceniom powstało życie i świadomość. W tym mechanicznie powstałym świecie musiały się rozwinąć siły produkcyjne, które powołują do życia coraz to inną organizację społeczną, inne prawo, inną moralność, inną sztukę. Dlaczego to wszystko powstało i rozwinęło się, na to Marks i Engles wyraźnej odpowiedzi nie dają.

Według Marksa i Engelsa cały idealny porządek świata, to tylko wynik mechanicznych procesów. Bierdiajew, oczywiście, stoi na biegunowo przeciwnem stanowisku, uważając, że w całym wszechświecie przejawia się wyższy rozum, kierujący biegiem jego życia i nadający sens wszystkim procesom w nim zachodzącym. Logicznie bardziej uzasadnione jest stanowisko Bierdiajewa. Istotnie marksizm wprzęga pełne treści życie ludzkie w bezsensowny łańcuch ślepych konieczności. Wszystko jest tu konieczne, ale wszystko dzieje się bez celu. Pewność, że dobro i piękno będą triumfować, nie istnieje w mechanistycznem, marksistowskiem ujmowaniu rzeczywistości; tu wszechwładnie rządzi przypadek. Powstanie każdego tworu zależy od pierwotnych przyczyn, działających ślepo i nie kierowanych żadnym rozumem.

Prawda i kłamstwo, dobro i zło to kwestja ukształtowania się odpowiedniej wypadkowej, która dziś może dać w wyniku dobro, a jutro zło. Trudno się w tem dopatrywać logiki. Wszelka wiara w dobro i prawdę, jako konieczne elementy rozwoju świata, musi zniknąć, bo przecież uznaje się wszystko zgóry za ślepy wynik procesów materjalnych, wynik niezależny od osobistych starań człowieka. W ten sposób podrywa się wszelką moralność i niszczy się podstawy współżycia społecznego. Jako kierunek ideowo-religijny, czem usiłuje być w istocie, według Bierdiajewa, marksizm, daje on twierdzenia względne, nie zaspakajające potrzeby wierzenia, a specjalnie w dziedzinie moralnej jest kierunkiem bankrutującym. Moralność — dowodzi Bierdiajew — wynikająca z konieczności, to wogóle żadna moralność. Z pojęciem bowiem moralności łączy się pojęcie swobody wyboru postępowania i wolności woli, negując te momenty, staje marksizm na stanowisku amoralnem, a więc społecznie bezwartościowem. Trafnie zauważa Bierdiajew, że marksizm, stojąc na stanowisku, iż idee są odbiciem stosunków gospodarczych, odejmuję sobie samemu charakter bez względnej prawdy, słusznej w każdej epoce historycznej. Zgodnie bowiem z jego własną doktryną, jest on wyrazem stosunków, które panowały w dziedzinie gospodarstwa w 19-tym wieku i jako taki dziś na tle innych stosunków jest przeżytkiem. Oryginalnie ujmuje Bierdiajew marksowską ideę proletarjatu. Dowodzi on, że jest to przeniesienie cech narodu wybranego na klasę społeczną, która w ten sposób powołana jest do odegrania roli Odkupiciela w stosunku do całego społeczeństwa. Marks był żydem— powiada Bierdiajew — i jak każdy wybitny żyd, pielęgnował w podświadomości idee narodu wybranego. Idee te przeniósł na klasę robotniczą i tak powstała najdziwniejsza na świecie teorja klasy wybranej. Proletarjat jest wolny od grzechu wyzyskiwania bliźniego, i dlatego jemu zostały objawione „prawdy" materjalistycznego pojmowania dziejów, walki klas, nadwartość i jemu tylko przypadło w udziale szczytne posłannictwo dziejowe. Proletarjat złączy ludzkość w harmonijną całość i zniesie wyzysk. Od chwili objęcia władzy przez proletarjat zniknie zależność człowieka od materjalnych sił, które zostaną podporządkowane świadomej woli ludzkiej. Wszystko to razem jest dość naiwne. Cała ta materjalistyczna teorja cudu razi swojem prostactwem i jakimś prymitywnym mesjanizmem z ghetta. Mesjanizm ten sprzeczny był z materjalizmem, ale o to się nikt nie kłopotał i nie kłopocze.

CHRYSTJANIZM I WALKA KLAS.

Koncepcje, rzucane przez Marksa, przy głębszej analizie okazują się pełne wewnętrznych sprzeczności i dalekie są od owego objektywizmu, o którym tak często mówią socjaliści. Bierdiajew słusznie podkreśla, że chrystjanizm jest bardziej realistyczny od marksizmu, głoszącego sprzeczną zresztą z materjalizmem mitologiczną teorję klas. Materjalizm jest przecież wrogiem wszelkich mitogij obcych, ale nie może uniknąć tworzenia własnych. Proletarjat w ujęciu Marksa nabiera cech doskonałości boskiej, staje się ideą, przestając być gronem zwykłych, dalekich od doskonałości ludzi, czem w rzeczywistości jest. Inaczej chrystjanizm — powiada Bierdiajew — daleko on jest od idealizowania rzeczywistości, w której widzi ogrom zła, krzywd, wyzysku i niedoli, widzi wiarołomstwo, chciwośc i nieprawości ludzkie, widzi ogrom upadku niedoskonałego człowieka i rozumie konieczność wielkiej pracy nad sobą.

Od koncepcji chrześcijańskiej daleko jest ideologja zarówno socjalistyczna, jak i kapitalistyczna, jak i demokratyczna. O pierwszej już mówiliśmy, co do drugiej, to różni ją od chrystjanizmu wiara w harmonję procesu społecznego i wreszcie trzecia wysuwa obce chrystjanizmowi stanowisko formalistyczne, względne, poddające i rozstrzygające wszystko większością głosów, jakgdyby prawda — mówi Bierdiajew — mogłaby być wynikiem głosowania. Najgłębszem i najwłaściwszem ujęciem kwestji społecznej odznacza się chrystjanizm, który uważa, że „kwestja socjalna jest przedewszystkiem zagadnieniem moralnem, zagadnieniem wewnętrznego przeobrażenia człowieka i społeczeństwa, zagadnieniem religijnej zmiany stosunku człowieka do człowieka, t. j. zagadnieniem chrystjanizmu" — powiada Bierdiajew. Niewłaściwe ujęcie kwestji społecznej, jako walki klas i wynikającej stąd nienawiści społecznej wypływa w marksiźmie z błędnego pojmowania samej klasy. Według Bierdiajewa, klasa jest funkcją rozwoju społecznego, zależną całkowicie w swoim rozwoju od jednostek. Nie jednostka, jak chce Marks, jest tworem klasowym, lecz klasa tworem jednostek. Klasa jest przemijającem, mechanicznem ugrupowaniem i dlatego nie może być żadnem kryterjum podziału społeczeństwa na odmienne kategorje. Niema stałych cech klasowych. Klasa nie kształtuje określonych typów psychicznych, jest tylko zbiorowiskiem różnorodnych. Ujmowanie zatem klasy jako pewnej kategorji o cechach wspólnych, jest nonsensem. Koncepcja proletarjatu, to koncepcja nie naukowa, lecz religijno-mityczna. Niema klas dobrych, albo złych, są tylko ludzie dobrzy lub źli. Mamy zarówno śród kominiarzy, jak i doktorów medycyny ludzi dobrych i złych. Za szczyt niedorzeczności należy uznać marksistowskie podejście do sprawy, mówiące, że każdy kominiarz jest lepszy od doktora medycyny, bo jest kominiarzem. Marks — mówi Bierdiajew — utożsamia proletarjat z dobrem, a burżuazję ze złem i robi z walki klas walkę Ormuzda z Arymanem. Etyka i ekonomja są u Marksa dziwacznie pomieszane przyczem pierwszą identyfikuję z reguły z drugą. Marksizm i kapitalizm ogromnie są tutaj do siebie podobne, traktują zgodnie człowieka jako kategorję ekonomiczną.

Inaczej religja. Kościół nie neguje doniosłej roli ekonomiki czy polityki, ale stanowczo zabrania uważania wskazań tych nauk za prawdy ostateczne, zwłaszcza tam, gdzie wchodzi w grę osobowość człowieka. Kościół nie może zgodzić się na traktowanie człowieka, jako rzeczy, a pracy, jako towaru, nie może uznać i rozgrzeszyć egoizmu gospodarczego, bezwzględności wolnej konkurencji, prowadzonej z pogwałceniem etyki, chciwości, okrucieństwa, materjalizacji życia i negacji ducha. Wyzysk człowieka przez człowieka zawsze był i będzie złem z punktu widzenia Kościoła. Stanowisko Kościoła jest zawsze nieprzejednane, o ile chodzi o człowieka i człowieczeństwo, o duszę, o godność ludzką, o prawo sprawiedliwej zapłaty, o minimum egzystencji, godnej człowieka. Kwestja społeczna była zawsze dla Kościoła walka o wyzwolenie człowieka. Kościół, zgodnie z religją, zawsze uważał pracę za przeznaczenie człowieka na tym świecie. Pracować, znaczyło spełniać swój religijny obowiązek. Kościół w odniesieniu do człowieka pracy zajmował zdecydowanie radykalne stanowisko. Znalazło to wyraz w doktrynach katolickich myślicieli i w organizacji całego życia średniowiecznego. Bierdiajew dowodzi, że społeczeństwa i dziś muszą być zorganizowane na wzór średniowieczny. Muszą powstać syndykaty, oparte o zasadę współpracy i współdziałania, przeniknięte głęboko duchem religijnym i etycznym. W ramach tych syndykatów musi płynąć uporządkowane życie gospodarcze.

Socjalizm, który powstał na tle kapitalizmu, nie może być jego zaprzeczeniem. Negacją ducha kapitalistycznego jest wyłącznie chrystjanizm, który stoi ponad kapitalizmem i socjalizmem, ponad walką klas i interesów. Walczy on w obronie robotnika nie w imię interesu klasowego, lecz w imię człowieczeństwa, sprawiedliwości i odwiecznej prawdy, w imię nakazów bożych. „Każdy—powiada Bierdiajew — nosi w sobie obraz Boga i jest powołany do życia wiecznego, wobec którego wszystkie różnice klasowe, namiętności polityczne i wszystkie naleciałości, które nagromadziła szarzyzna codzienna w duszy ludzkiej, nie mają żadnego znaczenia. „Oto dlaczego zagadnienie walki klas, mające b. ważną stronę ekonomiczną, prawną i techniczną, jest przedewszystkiem zagadnieniem duchowem i moralnem, dotyczącem nowego ustosunkowania się chrześcijaństwa do człowieka i społeczeństwa, jest zagadnieniem odrodzenia religijnego ludzkości.

CHRZEŚCIJAŃSTWO I AKTYWNOŚĆ CZŁOWIEKA

Sowiety w walce antyreligijnej posługują się argumentami starych materjalistów burżuazyjnych i nic od siebie nowego dodać nie mogą. Nadzwyczajnie popularnem twierdzeniem śród bezbożników jest teza, że religja odbiera człowiekowi aktywność. Zarzut ten jest jednym nonsensem więcej w arsenale skromnych środków walki antyreligijnej.

Według bolszewików chrześcijanin jest biernym i zacofanym fatalistą, który w modlitwie widzi główny środek realizacji swoich pragnień, a tymczasem traktor skuteczniejszy jest od modlitwy. Otóż w takiem traktowaniu rzeczy tkwi zasadniczy błąd. Wynika on — mówi Bierdiajew — z wzięcia za punkt wyjścia religijności ciemnych mas, dla których istotnie religja mogła być rodzajem magji i które mogły uważać modlitwy za rodzaj zaklęcia, sprawadzającego deszcz lub posuchę, urodzaj lub nieurodzaj, zależnie od swojej treści; oczywiście w odniesieniu do tego rodzaju religijności zarzut bolszewików mógłby mieć podstawy. Ale rzecz cała w tem, że taka religijność niema nic wspólnego z chrześcijaństwem, które jest religją czynu. „Chrześcijanin jest wiecznym rewolucjonistą — mówi Bierdiajew — którego nie może zaspokoić żaden tryb życia, ponieważ on wiecznie szuka królestwa Bożego i dąży do radykalnej zmiany człowieka, społeczeństwa i świata".

Chrześcijanin dąży do realizacji chrześcijaństwa, do królestwa czynnej miłości i ma obowiązek działania oraz pracy.

„Bóg chce sam—dowodzi Bierdiajew — żeby nauka i cywilizacja, medycyna i technika doprowadziły do lepszych warunków życia. Jednakże wewnętrzne udoskonalenie, przebudowa duszy ludzkiej nie da się osiągnąć przez żadną naukę, żadną technikę. Wynika to z duchowej postawy człowieka względem Boga". I dlatego samym traktorem nie osiągnie się udoskonalenia człowieka i ogólnego podniesienia poziomu moralnego. Chrystjanizm jest dynamiczny i dąży do przekształcenia i opanowania całego świata, wyzwolił on w starożytności zetatyzowanego człowieka i głosił pierwszy wolność sumienia jako zasadę. Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże — powiada Bierdiajew — ma obowiązek nietylko pracy, ale i twórczości. Zarzut zabijania aktywności słuszniejszy jest w odniesieniu do marksizmu, który twierdzi, że o działaniu i świadomości człowieka decydują siły produkcyjne. Człowiek w takiem ujęciu jest rodzajem automatu, reagującego bezwolnie na pewne oddziaływania zewnętrzne o charakterze materjalnym. Człowiek — słusznie utrzymuje Bierdiajew — traci tu swoją osobowość i jest tylko narzędziem ślepych sił, a nie aktywnym podmiotem.

Religja przeciwnie traktuje człowieka jako świadomego i swobodnego twórę, przekształcającego świat w myśl własnej rozumnej oceny. Bóg tylko przez człowieka swobodnego realizuje swoje cele i tylko swobodnie działającemu człowiekowi pomaga. Religja chrześcijańska jest par excellence religją czynu, nadaje ona człowiekowi godność ludzką i daleka jest od degradowania go do roli automatu.

WZNIOSŁOŚĆ CHRYSTJANIZMU

Chrystjanizm jest religją miłości i nie należy jej sądzić — powiada Bierdiajew — według postępowania jej niedoskonałych wyznawców, którymi kierowała niejednokrotnie w dziejach złość i nienawiść. Chrystus głosił wolność i wyzwolenie i nie ponosi on żadnej odpowiedzialności za przemoc i gwałty popełniane w imię religji. Wiara niejednokrotnie była kompromitowana przez grzech i słabość, i niedoskonałość. Bierdiajew słusznie podkreśla, że wszystkie gwałty i wszystkie przestępstwa chrześcijan wynikały stąd, że nie spełniali obowiązków nakładanych przez religję. Chrześcijaninem być jest trudno. Wymaga to dużej walki ze sobą samym i dużo częstokroć cierpienia. Kościół Katolicki nie jest odpowiedzialny za okrucieństwa popełniane przez jego przedstawicieli w jego imieniu w średniowieczu. Winni tu są ludzie dzicy, ciemni i grzeszni. Kościół Katolicki przeszedł dwie próby: prześladowania i zwycięstwa. Pierwsza próba była łatwiejsza, bo druga stwarza warunki, które psują ludzi i umożliwiają im nadużycia. Słaba natura człowiecza skłonna jest ulegać zepsuciu. Dziś następuje okres Odrodzenia religijnego — powiada Bierdiajew — w którym ludzie szukają łączności z Bogiem. Zaczynają oni rozumieć, że tylko łączność z Bogiem stanowi warunek wyjścia ze współczesnego kryzysu i odbudowania życia na trwałych podstawach, zapewniających osiągnięcie dobra i prawdy.

Bierdiajew ujął doskonale podstawowe zagadnienia chrystjanizmu. Dziś są one dla nas podwójnie aktualne. Przedewszystkiem jako zagadnienia związane z polskim ruchem narodowym, z radykalizmem młodego pokolenia narodowców i z ich głęboką wiarą w Boga i Naród. Nie jest to wcale dziwne, że ruchy młodego pokolenia z encyklik papieskich „Rerum Novarum" i „Quadragesimo Anno" czerpią wskazówki do swego programu społecznego i gospodarczego, znajdują one tam radykalizm Chrystusowy, radykalizm walczącej miłości. Po drugie aktualność zagadnienia chrystjanizmu zamyka się w możliwości przełamania przezeń tego, co określamy pojęciem „kryzysu Europy".

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BALAWENDER K.: Przez pryzmat duszy. Poezje. 8° str. 82. Lwów 1935. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

BEDNARZ JAN: Praca i wczasy nauczycielskie. 8° str. 96. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 0.80.

CZERNECKI J. Ks.: Krzyż czy gwiazda sowiecka? Szereg myśli. 8° str. 419. Katowice 1934. Księg. i Druk. Katolicka. Zł. 6.50.

HOPE Dr.: Hemoroidy i żylaki. Przyczyny, objawy, leczenie, zapobieganie. 8° str. 64. Warszawa 1934. Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich. Zł. 3.—.

IMIELA E.: Zaklęta Królewna. Strzaskana lutnia. Bajka w 3 cz. z epilogiem. 8° str. 99. Katowice 1934. Księg. i Druk. Katolicka. Zł. 2.50.

JEZIERSKI EDM.: Jadwiga i Jagiełło. 8° str. 387. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.—.

KERSCHENSTEINER G.: Pojęcie szkoły pracy. Przełożył B. Jakubowski. Przejrzał i wstęp napisał dr. K. Sośnicki. 8° str. 192. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 4.20.

KOZUBSKI Z. Ks. dr. prof.: Sporty i tańce w świetle nauki katolickiej. 8° str. 58. Warszawa 1934. Przegląd Katolicki. Zł. 1.50.

LEMPICKI ST.: O „Panu Tadeuszu" w stulecie ukazania się arcydzieła. 8° str. 120. Lwów 1934. Ossolineum. Zł. 1.—.

MARCZYŃSKI A.: Strzał o świcie. Powieść. 8° str. 227. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 4.—.

MAURIN W.: Zarys psycho-fizjologji. Cz. I. 8° str. 124. Warszawa 1934. J. Lisowska. Zł. 4.—.

NOWIKOW-PRIBOJ A.: Cuszima. T. III. Przełożył Wł. Broniewski. 8° str. 240. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

gnes, na kupców, zanim jeszcze dotarły do prasy codziennej i do szerokich rzesz publiczności. Już od tygodnia Kalitrich zajmował się sprzedażą, a czynił to z takim zapałem, że w pośpiechu odstąpił *France la Doulce* kilku kupcom, działającym w imieniu jednego i tego samego kraju.

. . . .

— Ile chcecie?

— Dwieście tysięcy, ale ani słowa belgijskiemu kupcowi, bo policzyłem mu trzysta tysięcy.

— Oferuję sto tysięcy, za prawo dystrybucji w Marsylji, łącznie z przedmieściami

— Mowy niema.

— Na dole, w mojem aucie czeka sześciu właścicieli kin, jeśli pan się nie zgadza, to zabieram ich spowrotem.

— Poczekaj pan, aż skończymy wyświetlać.

— Frajer. Jeśli film jest udany, to za dziesięć minut podwoisz pan cenę.

W mrocznej ciasnej salce „Ciné Niel" odbywała się poraz pierwszy poza obrębem la-

film" miał zalać świat swoją produkcją. Pomimo ciężkich, fałdzistych kotar, zasłaniających ściany i tłumiących szmery — słychać było głośniejsze uwagi i szept rozmów. W pewnej chwili wilgotna taśma przerwała się. Kalitrich zapalił światło i odwrócił się, widzowie przyłapani na gorącym uczynku zmartwieli — spotniałe, niespokojne twarze zdradziły swą tajemnicę. Ponad każdym z czterdziestu foteli sterczała głowa. Tak samo musieli wyglądać towarzysze Ali Baby, ukryci za wielkiemi urnami z oliwą. Kalitrich ogarnął ich wzrokiem — ujrzał głowy komiwojażerów z Martyniki, podejrzanych Korsykanów, komandorów Niszan Iftikaru, tureckich aferzystów, hyjen wyborczych, tłustych syryjskich handlarzy, Algierczyków dzierżawiących kasyna, bezrobotnych krupjerów, międzynarodowych maklerów, maskujących wyraz twarzy okularami o potężnych szkłach: ujrzał ich rozwarte obleśne gęby i rozwarte portfele. — Patrzał na tych straszliwych dyktatorów kina, którzy sami nie wiele ryzykują, na tych pajaców zawieszonych

w próżni na sznurze telefonu, sprzedawców standardowego śmiechu i seryjnych łez, handlarzy sex appeal'u, królów ekranowych cieni.

Kalitrich siedzący wgłębi pokoju dostrzegł Krona, który śmiał się sam do siebie.

— Któż to mówił, że to będzie trudno sprzedać — mruknął jakiś ajent.

— Gadali, że nie dość pikantne, a i to nieprawda. Tatarin to genjalny chłop — dodał w ostatniej chwili orgję u emira Babilonu.

— Ten super film ma niewątpliwe zalety.

— To krok naprzód w dziedzinie filmu — powtarzał kupiec z południo-wschodu.

W godzinę później bitwa była skończona. Kron odniósł zwycięstwo.

— Zapowiada się wcale nieźle — stwierdził rozpromieniony Kalitrich. Sprzedaliśmy do Eldorado w Bordeaux, do Trianon, w Lille, do Alhambry, w Brukseli, łącznie z Kongiem (negry będą się zapluwać z zachwytu), sprzedaliśmy do Palmarium w Reijkjawiku (żeby rozgrzać islandczyków), do Alcazaru w Saigonie, z opcją na Kambodżę i Sjam, nie

dzone z iście babilońskim przepychem. Kron mścił się na Paryżu za lata wygnania, za koczowniczą egzystencję pod namiotami i zmuszał go do oglądania budowli, która była mieszaniną stylów.

Dekoracje zdobiące ściany kina wyłaziły naprzeciwko przechodnia aż na ulicę, chwytały go i oszołamiały... A więc wąwóz Roncevaux ze swemi fałszowanemi skałami kończył się na avenue Kleber, podczas gdy dwie lampy w kształcie mieczów Durandal sięgały piątego piętra. Saraceni w fantastycznych strojach odbierali od gości zaproszenia, wypisane gotyckiem pismem na czerwonem tle, zdobne w złocone herby i wskazywali drogę do pozłocistej katedry, z tureckiemi lożami, zaopatrzonemi w zakratowane muszarabje.

Zamiast wąskich przejść i lóż, rezerwowanych dla prasy i klubów przeróżnych, nakreślono labirynt szerokich pasaży i świetlistych placów. Fotele były ze szkła, szatnie ze szkła, spluwaczki ze szkła rżniętego, odbijającego światło jak kryształy. „Cine Triomphe" był

skrystalizowanym kinem — ale ta olbrzymia budowla wydawała się przerażająco krucha. Niezdobyta bastylja zwaliłaby się pod silniejszym naporem tłumu. — Wystarczyłby jeden szrapnel, jedno silniejsze uderzenie pięścią, ba — jeden szczerszy okrzyk. Ale publiczność była zadowolona — nie odczuwała najmniejszej przykrości, patrząc na marmury milimetrowej grubości, na marmurową łuskę i liczne zwierciadła powtarzające tysiąc razy obraz nicości.

Z małych samochodów wysiadały kobiety w skrzydlatych sukniach z organdi, lekkich jak dym z papierosa, przedziwnie młode i ładne. Same prowadziły samochody, zostawiały je przy trotuarze, poczem poprawiały paluszkami sztuczne rzęsy, zakręcając je, tak jak w 1900 roku oficerowie kawalerji zakręcali wąsy. Inna to była publiczność, aniżeli ta, która uczęszcza na jeneralne próby. Ani śladu owej poufnej atmosfery, życzliwej, a zarazem niechętnej jaka panuje podczas prób, kiedy schodzą się bezpretensjonalni widzowie, na sąsiedzką pogawędkę. Tworzą oni

i złożył głęboki ukłon. Był to Mameluco, który próbował nowego zawodu.

— Zdawało mi się, że go wysiedlono?

— Odwołano rozkaz. Od dzisiaj jest wysiedleńcem, który ma pozwolenie na pobyt.

Na ekranie pojawił się napis.

FRANCE LA DOULCE.

Mammouth Co.

Skolei ukazała się dokładna lista współpracowników. Nazwisko Krona pokazano w tempie zwolnionem. Ta chwila była zapłatą za wszystkie trudy i przejścia, była nagrodą przedewszystkiem dla Krona, który został mianowany nowym prezesem „Eterfilmu". Na tle trójbarwnego sztandaru poruszył się i zarżał emblemat „Eterfilmu", wymyślony dopiero w dzień premjery — koń czystej krwi arabskiej. Zerwały się oklaski.

— Kron nie poprzestanie na tem — mówił ktoś z goryczą. Zapewne Tatarin. — Oto już jest dystrybutorem. Zostanie dostawcą francuskich kin, koncernu Lewi-Lewin. Film jest

jego własnością, to i sala do niego należy. Wszystko do niego należy.

— Minęły czasy, gdy mi wręczał czek z pokorną prośbą — „tylko bądź pan moim przyjacielem i nie staraj się go zrealizować".

Na ekranie rozwijała się świetlista taśma *France la Doulce*. Każdy epizod witany był coraz gorętszemi oklaskami — zaś niekłamany entuzjazm obudziły widoki Pirenejów, walka wielkoludów, mgliste zdjęcia panny Tetard, arystokratyczna sylwetka don Alfonso, orgja u emira i scena katowania Ganelona.

Kiniarze mieli rację — „Cine Triomphe" utrzyma się aż do lata dzięki temu jednemu filmowi.

Zabłysły światła

*

Na szczycie schodów ukazali się, poprzedzani przez dwuch saracenów, Kron i prezydent rady ministrów.

— Oto moi główni współpracownicy — zwrócił się Kron do dygnitarzy.

wym basenie, który otwieramy w podziemiach.

— Ależ oczywiście. Ale najprzód pozwólcie mi panowie wznieść toast na cześć kinematografu, siódmej sztuki, *France la Doulce*, i republiki! — zahuczał prezydent rady ministrów, wznosząc kielich.

Przytem — jak podczas chrzcin okrętu — wykonał okrągły gest ręką, który został natychmiast uwieczniony na taśmie aktualnych przeglądów. Ciné Triomphe wypływał na szerokie wody miljonowych zysków.

— Niech ekscelencja raczy również wypić zdrowie Francji... Słodkiej Francji...

— Zapewne — odparł premjer — ale przecież przed chwilą piłem zdrowie republiki. To to samo. A teraz — dodał stawiając na stole pusty kielich — powiem panu, że pan ma rację, panie Kron. Nasz kraj to kraj wszelkich możliwości.

— Kron uśmiechnął się.

— Francja, panie premjerze, to obóz koncentracyjny Pana Boga.

Pisane w Le Touquet.

boratorjum próbna premjera filmu *France la Doulce*. Zagraniczni kupcy, lokalni kiniarze, prowincjonalni ajenci, właściciele wielkich stołecznych kin, zagłębieni w skórzanych fotelach usiłowali wyrobić sobie zdanie o obrazie. Czekały na nich na ulicy potężne limuzyny. Niebawem ogniotrwała kasa „Eterfilmu" napełni się czekami. Sezon zapowiadał się niedobrze — wszystkie większe filmy okazały się kiczami, toteż niespodziewane pojawienie się super-nad-szlagiera wywołało istną rewolucję na rynku.

— Tylko lokomotywa wielkiego kalibru wyciągnie nas z bajora — mówili do siebie filmowym żargonem, niepewni jutra, producenci.

Czyżby *France la Doulce* miała być tą lokomotywą, tym brylantem ukrytym na ormjańskiej tolkuczce, gdzie kupując to co się chce, kupuje się jednocześnie mnóstwo wszelkiego śmiecia. Kupiec z południowo wschodniej Europy miał nosa. Wyczuł, że film *France* zrobi kasę, więc już po piętnastu minutach wsunął w dłoń Kalitrichowi kartkę,

— Dla pewności nałożyłem sekwestr na dochody — odparł rejent — ale zaznaczam, że nie uczyniłem tego wiedziony nieufnością do pana.

Kron objął go czule w pasie i pchnął przed oblicze dygnitarza.

— Panie premjerze — rzekł pewnym siebie głosem — przedstawiam panu Francuza. To nasz finansista.

A zwracając się do rejenta, dodał z namaszczeniem:

— Dziękuję panu wobec wszystkich tu zgromadzonych za to, żeś pan pomógł mi wzbogacić się, wysyłając mnie zagranicę.

Premjer ministrów, subjekt z galeryj burbońskich, chwycił w obydwie ręce kościste palce rejenta i potrząsnął niemi ze wzruszeniem (oficjalnem). Tak samo postępował z górnikami, wydobytymi z zaczadzonej kopalni.

— A teraz pan premjer zechce może wyświadczyć mi zaszczyt wypicia kielicha szampana — rzekł Kron do prezydenta ministrów. — I zechce pan przeciąć wstęgę w no-

Hautducoeur podszedł dumnym krokiem, wiodąc za sobą resztę zespołu, jakby do wtóru uroczystego marsza Lully'ego.

— Może pan mi przedstawi tych panów kolejno...

— Pan Hautducoeur...

— Z Odeonu — dokończył aktor.

Współpracownicy filmu produkcji Mammouth ściskali się, niepomni dawnych uraz i kłopotów. Dublerzy i dublerki, którzy od kilku miesięcy nie zamienili ze sobą ani słowa, bo się nienawidzili i nie rozumieli wzajemnie — teraz porozumiewali się na migi. — Hautducoeur uśmiechał się nawet do aktora angielskiego Hitbottoma, panna Tetard uśmiechała się do miss Christie, Niemcy do Moskali, ci których nabrano do tych którzy ich nabrali, wierzyciele do dłużników — tylko pan Tardif zachowywał spokój i dystans. Przybył z Ploermel w uroczystym surducie, by świętować powrót utraconego miljona.

— Otrzyma go pan jutro rano, w gotówce, drogi przyjacielu, — rzekł Kron. — Tak, w złocie. Cztery sztaby złota!

na której nakreślił naoślep kilka słów: — „Sto tysięcy. Wyłączność — Bałkany". Kilku widzów drzemało, inni kurzyli cygara i naradzali się szeptem:

— Publiczność na to poleci.

— To coś nowego.

— Pięćdziesiąt tysięcy piastrów na Egipt, Indje, Abisynję, Palestynę, Irak.

— Kupuję dla Holandji.

— Dobrze, ale wyłączywszy Jawę.

— Nie.

— Tak.

Kalitrich siedział w pierwszym rzędzie, pod niewielkim ekranem, przed stołem ze sterczącemi gałkami, które pozwalały regulować i przerywać projekcję. Zdawał sobie doskonale sprawę, co się dzieje za jego plecami. *France la Doulce* podobała się. To nie ulegało wątpliwości. Pieniądze napływały — zewsząd — tryskały poprzez szpary w tamie. Każdy z tych kupców dystrybutorów był niby rezerwuar, dostarczający wody pomniejszym przewodom, za pośrednictwem których „Eter-

XXV.

KRON POD ŁUKIEM ZWYCIĘSTWA.

W mroczną, deszczową noc rozlegały się gwizdki policjantów. Kordony ciągnęły się aż do tonącej w blasku, bramy w porównaniu z którą Pola Elizejskie wydawały się ciemne. Samochody rządowe kierowane przez szoferów, w trójbarwnych kokardkach, pędziły rozpryskując wodę, skrapiając przechodniów i obrzucając błotem policjantów, stojących na baczność. Prezydent rady ministrów miał owego wieczora uczestniczyć w uroczystem otwarciu nowego kina „Triomphe" niedaleko Łuku Zwycięstwa. Miała się bowiem odbyć premjera filmu „*France La Doulce*", na cel Narodowej walki z gruźlicą, gdyż Kron zrzekł się wszelkich dochodów z tego przedstawienia.

Kino „Cine-Triomphe", które nabył Kron nosiło piętno jego upodobań — było urzą-

zżyta z sobą rodzinę — niema tam złociowych krytyków o zielonkawych twarzach, niema starych aktorzyc, umarłych gwiazd, których fotele w teatrze trwają wieczyście, niby klęczniki nieżyjących dziedziców w starych wiejskich kościołach. Nie było tu owej rzeszy pisarzy, kawiarnianych dowcipnisiów, plotkarzy, causeur'ów, opowiadaczy anegdot i kawałów, jednem słowem sosjety, która od siedemnastego wieku począwszy reprezentuje paryski esprit, a która znika usunięta w cień przez wielojęzyczną międzynarodową hałastrę. W kinie „Triomphe" zgromadził się tłum nieznany, legjon jednodniowych gwiazd, międzynarodowych sław, których nazwiska błyszczą godzinę nad Paryżem; artystek, które dźwigają na główkach poskręcane, usztywnione fjoki udające zwoje miedzi i cynku; jednodniowych małżonek w sukniach połyskujących od nowiutkich klejnotów, równie modnych jak suknie, które imitują najśmielsze kostjumy kąpielowe z Jasnego Brzegu. Zeszły się tutaj nowiutkie kobiety ze stali, z bronzu, z aluminjum, z pla-

tyny i niklu — kobiety które nie jadają kolacji, wstają o szóstej rano, odżywiają się aspiryną; nie śmieją się, nie umierają, są ze szkła, podobnie jak ich sprzęty. Służki sztuki nie koniecznie dramatycznej, gorące i zimne ogniska przyciągające ku sobie promienie wielkiego przemysłu filmowego, kobiety wykonane z nieprzenikliwego materjału, pociski które usiłują trafić w serce Paryża i całego świata i w zmurszały mur staroświeckiej publiczności francuskiej, kłótliwej i dziwacznej. Jej dzisiejsza bezkształtna i lękliwa dusza nie śmie powiedzieć „nie" — i zadawalnia się rozrywkami seryjnemi, przeznaczonemi dla negrów i chińczyków.

Prezydent rady ministrów zajął miejsce, Kron usiadł obok niego. Zbiegła się też kolonja południowo amerykańska i hiszpańska (plecy o ciepłej barwie, białe brylanty) by urządzić owację don Alfonsowi. Organy, ukryte pod gotyckiemi arkadami polewały widownię falą dźwięków. Z orkiestry wyłonił się dyrygent i popłynął ku górze na ruchomej estradzie. Odwrócił się twarzą do widowni

mówiąc o wyłączności dla Szwajcarji, Brazylji i Portugalji. Łajdak Kron podwoi swój majątek w przeciągu jednego ranka.

— Bywa ciężko — westchnął Jacobi — ale trzeba przyznać, że to intratny zawód.

L. Całkosińska

Dąb i trzciny

Jakże krótkotrwała jest sława ludzka! Ten sam, którego powieści: La neige sur les pas i La vie recommence były w ostatniem dwudziestoleciu na ustach wszystkich, ten, który w Le coeur de la reine Hortense dał jedną z najżywszych sylwetek historycznych, Henry Bordeaux de l'Académie Françoise, popadł w zapomnienie i niełaskę. W księgarniach podają ci ostatnią jego powieść:

— Jakto, jeszcze pisze? I czy to aby nie nudne?...

Wśród rozmów o literaturze:

— Ach, przestańcie: Bordeaux? Co za przeżytek!...

Przydomek najwyrozumialszego przestaje być czemś cennem i traci na uroku. Gdzieś, na prowincji, kobiety, którym było dane poznać gorycz i radość życia czytają Bordeaux, czytają po parę razy, odnajdując w rysach Sandrine, czy Teresy swe rysy, w usprawiedliwieniu ich — własne, w miłosierdziu autora — nadzieję i pokrzepienie. Gdzieś, dla kogoś świeżo poznany Bordeaux, jest wielką trouvaille literacką, i budzi nadal te wzruszenia jakich i my doznawaliśmy. Jakiś miłośnik romansu psychologicznego ustawia w jednym rzędzie książki Bazin, Bourget'a i Bordeaux; ale dla ogółu Bordeaux przeżył się.

Dziś, gdy Le chêne et les roseaux zdają się być pożegnaniem, gdy w powrocie do rodziny Roquevillardów zda się tkwić bezwolny instynkt człowieka kończącego swą wędrówkę, tam właśnie, skąd wyruszył; gdy, po stworzeniu tylu wdzięcznych, winnych, czystych i bohaterskich postaci, — Bordeaux, bojownik błądzącego człowieczeństwa schodzi z areny, napływają refleksje.

Dlaczego: przestarzały? Dlaczego przeminął i czemu mówiąc o nim łączy się pojęcie wyrozumiałości z pobłażliwym optymizmem? O względności podobnych sądów świadczy chociażby nawrót nasz do „przestarzałego" Prusa, trudno z nimi dyskutować. Zdaje mi się, że źródła należałoby tu szukać nie w wieku Bordeaux, nie w przynależności do grupy przedwojennych pisarzy (bo przecież największy rozwój twórczości przypada na okres 1910 — 25) nie w osłabieniu zdolności, boć „Dąb i trzciny" świeżo wydane zyskały uznanie krytyki, i wielką popularność. Pozory staroświeczczyzny tkwią właśnie w tem, co jest siłą autora: w przynależności do powieści psychologicznej, w kontynuacji dzieła Bourget'a. Niezależnie od prądów nurtujących literaturę, niezależnie od rewolucji literackiej, jaka odbywa się w latach ostatnich, niezależnie od lekceważenia młodej Francji. Jakgdyby można było przekreślić w historji literatury kartę romansu psychologicznego, jakgdyby nie był on czemś zrośniętem z kulturą Francji — czemś nieprzemijalnem!

To, co piszę, wygląda na obronę. Ależ Bordeaux nie potrzebuje obrony! — powiedzą Francuzi. I zupełnie słusznie. Tembardziej, że właśnie mam zamiar zaczepić kwestję t. zw. wyrozumiałości Bordeaux. To bardzo dziwne, że właśnie tym samym epitetem obdarza się dwu tak odmiennych pisarzy, jak Bordeaux, i Maurois. Może z tego wypływa żywe uczucie sprzeciwu, jakiego doznaję, słysząc to. W wyrozumiałości Maurois kryje się pierwiastek wspólnictwa, w miłości życia, — pretekst do zerwania więzów tradycji, czy obowiązków. Maurois jest optymistą — bowiem uważa za osiągalną harmonję pomiędzy wyzwolonym umysłem i wyzwolonym od pęt niewoli ciałem. Ale co wspólnego z tą wyrozumiałością i optymizmem ma Bordeaux? Jeśli istnieje pomiędzy nimi wspólność, to jedynie w uznaniu potęgi życia.

Jest w tem fatalizm, jest karność wobec straszliwej potęgi życia, obalającej przeszkody. Możnaby rzec, że wyrozumiałość Bordeaux wyszła zarówno dobrze na świadomości tej nieodpartej siły, jak na nieufności do stałości ludzkiej. Odejmijmy mu jego katolicyzm wybaczający, a ujrzymy najsmutniejszego pesymistę człowieczeństwa. Odejmijmy jego bohaterom łaskę i światło Wiary — a zobaczymy bezbronne, błąkające się po manowcach życia istoty. Te, które kochają w lęku i grzeszą w smutku. Cały pesymizm autora odnosi się do istoty fizycznej człowieka, idącego za głosem życia, — cały optymizm, jeśli można o nim mówić, — do pierwiastka boskiego tkwiącego w ludziach.

Gdy Marc Romenay mówi do przeora: „Przebaczyłem żonie, wszystko skończone", — odpowiedź przeora jest wyznaniem wiary Bordeaux: „Myli się pan. Przebaczenie płynie z tego, co w panu jest boskie. Prawdziwe przebaczenie pochodzi tylko od Boga. I w tem tylko jest koniec". Ten silnie zaznaczony dualizm pozwala mu przewiązywać rany pozornie niedozagojenia, podnosić upadłych, ale równocześnie zrywać zapory i utrudniać najwyższe zadanie człowieka, osiągnięcie harmonji pomiędzy duchem a ciałem, bo Bóg równie dobrze może wycofać się z człowieka. Płaszcz miłosierdzia i wyrozumiałości jakim okrywa Bordeaux swych pokutników niema nic wspólnego z promienistą opończą wyzwolonego bohatera A. Maurois.

Tym, którzy przywykli szukać intrygi miłosnej, „Le chêne et les roseaux" sprawi zawód. Nie dlatego, by jej nie było, lecz iż jest taka, jaka jest. Jesienna i babioletnia, skazana zgóry na przejściowy krótki żywot, miłość dwojga niewolnych i niemłodych ludzi. Od pierwszej chwili wiemy, że miłość Angèli ma w sobie cechę beznadziejności i że wypływa to nie z musu, lecz z przekonania autora, że nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest życie — mówi Bordeaux i skazuje miłość na śmierć. Oto stoi, trzymając w dłoniach czarę miłości i zdaje się dziwić jej kruchości. Najważniejsze jest życie! — powtarza, i wówczas wiemy napewno, że to ostatnia miłość Bordeaux, ostatnia, jakiej poświęcił uwagę.

Dla mnie, jak wspomniałem, powieść ta ma pożegnalny charakter. Jest to pozornie niczem nieuzasadnione wrażenie. Krytyka francuska omawia z entuzjazmem tę książkę. Edm. Jaloux zalicza ją do najlepszych i podkreśla szczęśliwe przeprowadzenie zasady psychologicznej, dzięki której „l'extrême tension dramatique est due aux caractères et non a des combinaisons arbitraires". A mimo to, czy to nawrót do wspomnień młodości, czy przeniesienie akcentu na nowe, inne problemy, czy wreszcie dedykacja „a François Mauriac", wzmacniają to uczucie. Bowiem, poświęcając Mauriac'owi swą książkę, Bordeaux zdaje się oddawać pochodnię w godne ręce żarliwego wyznawcy katolicyzmu. I nie bez przyczyny dedykuje książkę o jansenistcie z usposobienia, — temu, którego nazwisko łączą z pojęciem jansenizmu. Jest w tem ukryta przestroga przed żarliwą surowością ducha. „Widziałem w młodości swej — pisze — tego, który jest dębem pomiędzy trzcinami. Podziwiałem jego wielkość. Nie zostawiła nic po sobie... Pycha intelektualna zdolna jest sama przez się zniweczyć najszlachetniejsze dary...".

Z Bordeaux przenosi akcję do rodzinnego Chambery, oprowadza nas z miłością po ulicach i placach, opowiada historję ulic, gmachów, ponurych pałaców i okolicy. Na tym tle, w atmosferze zatargów kleru z radykalistami, podniecenia pospólstwa, rozwija dramat prowincjonalnej, nieskazitelnej rodziny Hamelów. Stary pan Joachim Hamel zyskał uznanie społeczeństwa, nie tyle dzięki usposobieniu, bo jest zimny, wzgardliwy i małomówny, ile dzięki przysłowiowej uczciwości. I właśnie syn tegoż Hamela, Pascal, chwiejny i słaby, wychowany w bojaźni i lęku, kształtowany nielitościwie ręką ojca, rzuca nie sławę na nazwisko. Ożeniony z Włoszką, Liną, istotą żyjącą „wśród muzyki i kwiatów", — kocha ją idealnem uczuciem, lecz szuka poza nią brutalniejszych i mocniejszych wrażeń. Powoli stacza się coraz niżej, potajemne miłostki prowadzą go do sprzeniewierzenia depozytów klientów. Oddany w ręce sprawiedliwości, nie tłumaczy się, nie broni. Jednego pragnie: zatajenia prawdy przed żoną.

Chambery dygoce z podniecenia. W tej atmosferze sensacji dwie istoty o niczem nie wiedzą: Lina i ojciec Pascala. Dowiedziawszy się prawdy, Hamel sprzedaje majątek, spłaca długi syna, lecz równocześnie wyrzeka się go. Skazany na rok więzienia Pascal mówi: „C'est juste!" Jest słaby, błądził, lecz zna wagę swych występków. Nie docenia tego Hamel, dla którego cnota i i asceza są nieodzowną częścią charakteru ludzkiego.

Nieszczęścia nie chodzą ame. Równocześnie niemal przybywa córka jego, Angele, piękna, niezaspokojona, w pragnieniu szczęści istota.

Niesłuszne podejrzenia męża wypędziły ją z domu, lecz równocześnie rzuciły w ramiona człowieka, któremu dotąd opierała się. Ten porównawczy romans wykrywa ojciec i wypędza córkę: tu ku zdumieniu wszystkich występuje przeciw jego woli najmłodsza Agnes, pokorna i cicha. Ona to daje siostrze schronienie i skłania do pogodzenia się z mężem, ona odwiedza Pascala. Oburzony, pełen grozy, zdradzony przez dzieci i Boga, Hamel zamyka się w pogardzie dla świata. Niedarmo jego zacięty wróg, proboszcz Belfroy, pomawia go o pychę, lecz niedarmo arcybiskup broniąc starca mówi: „Bóg nie pozwala błądzić bez końca tym, którzy szukają go w dobrej wierze... Raczej ześle im Anioła...". Nieszczęście nie ma końca: pada ostatni cios. Anonim, zawierający sprawozdanie z procesu, dociera do Liny i zabija ją. Małą córeczkę Alinę przesyłają dziadowi na wychowanie.

I wówczas wśród gruzów życia starzec odnajduje przyczynę nieszczęść w sobie. Odkrywa mu ją Alina, usiłująca odebrać sobie życie na grobie matki. „Odejdź! — woła — Boję się ciebie! Wszyscy się ciebie boją". Te słowa oświecają Hamela. Wychowany w bojaźni Boga, utworzył Bóstwo ze strachu i w lęku zaprawiał dzieci do życia. Wszyscy, nawet młoda zmarła żona, bali się go. Świadomość własnych win prowadzi starca do odrodzenia duchowego. Pozwala się kierować małej, dziecinnej rączce i nieomylnemu instynktowi Aliny. Ona to uczy go łez, śmiechu, miłości, ona otwiera oczy na piękno i ukazuje Boga, „który umarł z miłości do nas". Zdumiony Hamel widzi, że dzieci wyprzedziły go w drodze do Boga... Pascal po uwolnieniu wstąpił do klasztoru, Angele wyrzeka się miłości po to, by wychować Alinę, Agnes ma zamiar złożyć śluby zakonne. „Już niedługo" — mówi ojciec myśląc o śmierci, ale myśli o niej pogodnie. Trzciny wyprostowały się, w gałęziach dębu śpiewają ptaki.

W galerji typów A. Bordeaux, Joachim Hamel jest najdoskonalszym, konsekwentnym typem fanatyka honoru. Ten fanatyzm każe mu zapłacić długi syna, ale równocześnie odmówić przebaczenia. Fanatyzm dyktuje mu w stosunku do winowajców okrzyk: Precz!.., ale fanatyzm uczciwości każe mu przeprowadzić rewizję własnych czynów i błędów. Bo wszystko w Hamelu jest zakrojone na nieprzeciętną miarę i pozwala mu nawet w błędach być wielkim. Dlatego można się przeciw niemu buntować, można winić, ale nie można odmówić szacunku. I dlatego choćby wpływ Aliny wydał się zbyt mocno zaakcentowany, ma się tylko wdzięczność dla autora, który tym, co uznali wielkość Hamela, ułatwił sympatję dla pokonanego starca,

Andrzej Mikułowski

Jane Austen odmłodzona

Czasy, w których żyjemy, pozatem, że są ciężkie, kryzysowe i tam dalej, charakteryzuje nastrój „syna marnotrawnego". Przebrnąwszy przez ciężki okres „postępu" i entuzjazmowania się wszystkiem, co nowe, aż do szalów zachwytu nad „nową" tandetą, zaczynamy nieśmiało powracać do tego, co stare, a solidne, dobre, wypróbowane. Zapomniawszy o wizjach przyszłości, pogrążamy się w przeszłość, czyniąc w lamusie pamiątek rewelacyjne odkrycia. „Odkryto" religję i naród, i okazuje się, że wcale nie straciły na aktualności odwieczne pojęcia; okazało się, że są one nietylko odwieczne, ale i wieczne. Ale nie sięgajmy tak głęboko. Jesteśmy synami marnotrawnymi codzień i na każdym kroku. Nie bawi nas już przestarzała rewja, chodzimy na operetkę — choćby do kina. Idziemy na bal i biorąc w ramiona kobietę w powłóczystej sukni z trenem tańczymy starego walczyka. Kto wie, czy niedługo nie przyjdzie nam zacząć uczyć się menueta. Tango? — to takie banalne. Czy pan tańczy kujawiaka?

Niedawno Warszawa powróciła do krajobrazu z pierwszego dziesiątka naszego stulecia. Majestatycznie unosiły się nad nią balony. „Wiadomości Literackie" nawracają się na secesję, a Boy, jak zawsze najwspółcześniejszy z współczesnych od paru lat zdradza nam sekret: jak powstaje człowiek. W swem subtelnem odczuciu potrzeb i prądów współczesności posuwa się najdalej, powraca do samego początku, do błogich lat nieświadomości. Trzeba przyznać, że jest w tem nieco przesady.

Literatura czyni też odkrycie za odkryciem, tymczasem w sferze przekładów. Wiele cennych, wiele czarujących, wiele niepotrzebnych. Ale idea jest zdrowa i wydaje owoce: odkrywamy właśnie arcydzieła literatury europejskiej od dziesiątków lat zapomniane, lub wogóle dotąd u nas nieznane. Z samej tylko literatury angielskiej przełożono przynajmniej połowę dzieł R. L. Stevensona, „Wuthering Heights" Emilji Brontë pod demonicznym tytułem „Szatańska miłość" (to już jest t. zw. uwspółcześnienie), dalej „Jane Eyre" Karoliny Brontë, z amerykańskiej literatury „Moby Dick" Melville'a, „Szkarłatną literę" Nataniela Hawthorne'a. Ostatnio sięgnięto jeszcze dalej i wydostano z pyłu zapomnienia Jane Austen i jej „Sense and Sensibility", wydaną świeżo przez Wydawnictwo Współczesne pod tytułem „Rozsądek i uczucie". Wydano coprawda równocześnie przekłady poczciwego starego Eugenjusza Sue i innych paru podobnych, ale rzecz dziwna: tandety starej nikt nie chce czytać i wala się to po koszach ulicznych i makulaturach. Nawet współczesnych kucharek nie interesuje już „Marcin Podrzutek".

Stare klejnoty natomiast są poszukiwane. Będąc t. zw. „abonentem" w czytelni publicznej, obserwuję zainteresowania moich towarzyszy czytelnianej doli i niedoli, i miałem okazję stwierdzić, że „Jane Eyre" wogóle dostać nie było można przez szereg miesięcy, a romantyczna powieść Melville'a o białym wielorybie była rozrywana (była coprawda sfilmowana z Johnem Barrymorem). A przecież to dzieła współczesnych naszego Kraszewskiego. Ostatnio zaś Jane Austen, rówieśnica matki Mickiewicza. Skarby zapomniane w rupieciarni i wyniesione na światło dzienne błyszczą i skrzą się, jak dawniej i czarują nas, jak dawniej.

Powieść „Rozsądek i uczucie" nie zawiera żadnych rewelacyj, fabułę ma prostą i mało egzotyczną, nie wprowadza żadnych nowych typów, ani nowych zagadnień. A przecież zamykając ją, pozostawiamy w pamięci ludzi, którzy w niej żyją, pamiętamy ich wszystkich z imionami, jak dobrych znajomych. Żyjemy teraz w czasach takiego zakłamania, że zetknięcie się z prawdą jest dla nas rewelacją. Znużeni sensacjami, które wyblagowuje się, aby tylko zabawić nas czemś nowem, otwieramy szeroko oczy w podziwie, znajdując się nagle w prostym dworku angielskim z przed lat stu pięćdziesięciu i poznając prostych ludzi, którzy w nim mieszkają. Zagłębiamy się w lekturze powieści, prawdziwej powieści, będącej obrazem życia, ale niczem więcej i niczem innem. Twierdzenia o obecnej hegemonji powieści są mocno przesadzone. Mamy do czynienia z satyrą, dyskusją, bajką, rozprawą filozoficzną, traktatem popularno-naukowym, manifestem politycznym, czy ideowym, epopeją, ale rzadko z prawdziwą powieścią. Dlatego zetknięcie się z tym gatunkiem zapomnianym i zapoznanym we właściwej jego formie jest dla nas nową rewelacją.

Wreszcie ludzie, ci ludzie, którzy z Londynu do Exeteru jadą trzy dni w miejsce dzisiejszych trzech godzin, dziewczęta szczerze zalewające się łzami na myśl o rozstaniu z matką, gdy mają się udać na karnawał do Londynu, młodzieńcy, którzy muszą umieć grać i śpiewać i znać się na poezji, aby podobać się swoim wybranym — a przecież ludzie ci żyli taksamo, jak my, taksamo czuli i stosunki ich wzajemne nie różniły się od naszych. A żyjąc przez pewien czas w tej atmosferze spokoju i świeżości, zapominamy na chwilę o własnem, gorączkowem życiu i jego wielkich wstrząsach i oddychamy przez chwilę spokojnie świeżem powietrzem. Te doświadczenia pozwalają nam spojrzeć na zagadnienie postępu innem, niedzisiejszem okiem.

Spokój i umiar przy doskonale pięknej formie artystycznej i niezwykłej prawdzie przeżycia, to najcharakterystyczniejsze cechy twórczości Jane Austen, a jednocześnie cechy, których najwięcej brak twórczości obecnej. Córka skromnego pastora w Hampshire, przeżyła czterdzieści dwa lata w zupełnym spokoju i ciszy, bez wielkich wydarzeń i wstrząsów. Mając staranne wykształcenie, większe od swych rówieśniczek w tych czasach i dużą wrodzoną kulturę, patrzyła na otaczające ją życie prowincjonalne z uwagą bystrego obserwatora i z sympatją człowieka czującego. Pisała o tem, co widziała, pisała nie dla rozgłosu, ale dla siebie i tylko część swych dzieł wydała, zresztą pod pseudonimem, reszta zaś ukazała się po jej śmierci. Niecenіona bardzo wysoko przez krytyków współczesnych, przez późniejszych stawiana na samym szczycie wśród sześciu największych powieściopisarzy angielskich. Rozumiejąc ludzi i wszystkie ich ułomności, traktuje ich z humorem i pobłażliwością. Nie wybacza tylko brakowi serca. Niema w niej jeszcze romantycznej pasji; powieści jej są klasycznie doskonałe i proste w konstrukcji i mają urok spokoju i dojrzałości.

Z radością witając fakt wprowadzenia Jane Austen do naszej literatury, bierzemy do ręki przekład. I odrazu uderza nas napis na karcie tytułowej: Przekład **autoryzowany** z angielskiego J. Sujkowskiej. Autorka urodziła się w roku pańskim 1775, a więc przeszło 150 lat temu. Umarła w 1817, a więc przed laty przeszło stu. Może więc p. Sujkowska porozumiała się z nią w sprawie przekładu za pośrednictwem cudownej ekierki, czy stolika wirującego? Kurtuazja taka byłaby może nieco przesadna, a w każdym razie niepewna w skutkach. Jak wiadomo duchy paszportów nie mają, a odwiedzają nas w formie nieco mglistej. Z łatwością więc mógł się ktoś podszyć pod Jane Austen. Rozpoczynając lekturę utwierdzamy się w tem przekonaniu. Domyślamy się nawet sprawczyni: Paulina Krakowowa. Jej to światłe wskazówki musiały inspirować p. Sujkowską. Z pięknej, subtelnej powieści o „Sense and Sensibility" zrobiła z pomocą anonimowych mocy powieść dla dorastających panienek w gorszym stylu sprzed lat pięćdziesięciu. Koronkowa wykwintność stylu Jane Austen przepadła zupełnie.

Porównujemy przekład z oryginałem. Okazuje się, że nie jest to tłumaczenie, tylko streszczenie. Aby skrócić powieść o jakieś 40 stron, p. Sujkowska „opowiada ją swojemi słowami". Weźmy przykład: „I uczynił to (złożył wizytę), ale sam. Żonie było szalenie przykro, ale absolutnie nie mogła. Musiała zostać przy matce i wogóle i t. d. i t. d." (str. 202). W oryginale brzmi to mniejwięcej tak: „Wizytę rzetelnie złożył. Przyszedł z pozorem przeprosin od szwagierki panien Dashwood, że nie przyszła, „ale była tak bardzo zajęta matką, że naprawdę nie miała czasu nigdzie pójść". Usiłowałem dać tu próbkę różnicy między stylem p. Sujkowskiej, a stylem oryginału (w możliwie dokładnym przekładzie. „Żonie było **szalenie** przykro, ale **absolutnie** nie mogła", a potem to „i wogóle" i t. d. i t. d." — Jane Austen przewraca się w grobie. Wytworny dandys, oksfordczyk, którego swatają z córką lorda, mówi: „jak babcię kocham" (str. 269) — w oryginale jest „na mą duszę"; teściowa baroneta mówi, jak kucharka, obiecując komuś „wikt i opierunek" (str. 240) — pozatem tłumaczka upiększa od czasu do czasu jej mowę dodatkami od siebie „cha, cha, cha", lub „he, he!" (np. str. 146 i 247). Wrażenie potęguje jeszcze nieprzyjemne spolszczenie końcówek przy nazwiskach: Ferrarsowa, Dashwoodówny, Jenningsowa; żeby być konsekwentnym należałoby już pisać Dżenniksowa i t. d.

Brak wyczucia środowiska, brak wyczucia języka, brak znajomości polszczyzny (np. zwrot: „rezygnuję na wikarjat" (str. 247), brak sensu i brak „sensibility", a przedewszystkiem zupełna nonszalancja w stosunku do autorki, czynią z przekładu p. Sujkowskiej rzecz nie do przełknięcia. Co gorsza, sprawa wykrywa się dopiero po konfrontacji z oryginałem. Czytelnik polski ma wrażenie, że Jane Austen pisała powieści o kucharkach, stylem wyżej wspomnianej p. Krakowowej, szpikowanym dodatkowo wyrażeniami kucharek 20 wieku. To uwspółcześnianie Jane Austen jest niedźwiedzią przysługą i fiasko powinno stać się przestrogą na przyszłość. Literatura angielska zawiera jeszcze kopalnie klejnotów prawdziwych; nie należy ich tylko oprawiać w nowoczesny tombak.

Zdzisław Broncel

Księga o ludziach i zwierzętach

„Księga o ludziach i zwierzętach *) Axela Munthe ma tytuł zaobszerny. W rzeczywistości przynosi mniej, niż zapowiada w tytule. I mniej niż zapowiada nazwisko autora. Dlatego też, choć chciałoby się najżyczliwiej zachować w pamięci te historje ludzkiej biedy pisane z poczuciem, że koniec napisany jest już zgóry i że jest nim śmierć, odkłada się „Księgę o ludziach i zwierzętach" z zawodem.

Więc zawiódł nas tytuł. Jest to książka o ludziach; nie wprowadza w świat zwierząt i nie wystarczy opowiadanie o orle, niedźwiedziu i lwie zamkniętych w menażerji, żeby mieć Axela Munthe za przyjaciela zwierząt naprawdę zaprzyjaźnionego ze zwierzętami. A przecież takim znamy go z „Księgi z San Michele" — kiedy teraz w drugiej jego książce ukazującej się w polskim przekładzie, trafiamy na tytułową stronę opowiadania „Psy na Capri" i nie znajdujemy nic naprawdę ciekawego, kiedy pies Tappio występuje tylko, jako ktoś zaginiony, jako istota, której niema, bo właśnie wszystko dzieje się w związku z poszukiwaniem go, kiedy Munthe wygłasza tyradę przeciw sportowi myśliwskiemu, godną raczej jarosza, niż oryginalnego pisarza, mamy pełne prawo skreślić z tytułu zapowiedź „księgi zwierząt". Po „Księgach dżungli" księga zwierząt nie powstaje łatwo i nie można jej zebrać z błahych opowiastek, z noweletek wyraźnie zaprawianych rozgadaną literackością typu tygodniowych i i miesięcznych magazynów. Takich, które zacny mieszczuch w miękkim fotelu czyta w niedzielę po tłustym obiedzie.

Z tego wszystkiego widać, że z książką Axela Munthe jest jakieś nieporozumienie. Istotnie, sytuacja jest taka, jakgdyby z lektury Kiplinga przejść na czytanie Hagenbecka. Axel Munthe zdobył serca „Księgą z San Michele" poczem przetłumaczono jego pierwszą w życiu pracę literacką, o której sam pisze, że w pierwszej edycji „zmarła śmiercią naturalną — i nieliczni żałobnicy, którzy odprowadzili ją do wspólnej mogiły zapomnienia, znosili do tychczas los swój z dzielną rezygnacją". „Dotychczas" — mówi Munthe w przedmowie, bo powodzenie innych utworów wskrzesiło i tamten zapomniany.

Ale nietylko powodzenie i pójście autora w cenę na rynku księgarskim. W niebardzo udanym pierwszym tworze literackim nie zamarło serce. I dzięki temu można było książkę ożywić.

A rzecz ma się tak. Pierwszy rozdział zajmuje historja kataryniarza don Gaetano. Don Gaetano, Włoch, rzucony losem do Francji, codziennie obchodził ubogą dzielnicę w Jardin des Plantes i wygrywał na nienajlepszej katarynce obdartym ulicznikom. Towarzyszyła mu mała małpka, siedząca w czasie katarynkowego koncertu na pudle katarynki. Zdaje się, że małpka była jedynym towarzyszem i przyjacielem starego Gaetano. Ich wzajemny stosunek i wogóle życie małpki u Gaetana musiało opierać się na przyjaźni i przywiązaniu, bo korzyści nie przynosiła mu ona żadnych. Przedtem plan był taki, że małpka nauczy się sztuczek i będzie pomagać w zarabianiu na chleb. Z edukacji nic nie wynikło ale małpka została.

Z Gaetanem zaprzyjaźnił się Axel Munthe. Zamówił go sobie, żeby przychodził pod balkon domu dwa razy w tygodniu i wygrywał cały repertuar.

Znajomość trwała, póki Munthe nie musiał przenieść się do szpitala dla zastąpienia kolegi. Kiedy następny raz spotkał Gaetana, Gaetano żebrał w niedzielę pod kościołem. Był bez katarynki i bez małpki, otrzymawszy od jakiegoś dziecka drobną jałmużnę opuścił dziadowski posterunek. Munthe, niezauważony, szedł za nim krok w krok. I jakież było jego zdziwienie, kiedy Gaetano wszedł do cukierni, rozsupłał chusteczkę; położył na ladzie dar dziewczynki spod kościoła i kupił czerwoną torebkę z cukierkami. Ciekawość kazała dalej śledzić Gaetana. Wreszcie tajemnica się odkrywa — Munthe wchodzi do mieszkania Gaetana:

„Pokoik oświetlony był tęgo płonącym w piecu ogniem. Don Gaetano klęczał przed piecem, zajęty rozgrzewaniem małej patelni; koło niego na podłodze leżał stary materac, przykryty dobrze mi znanym płaszczem, zaś tuż obok, rozłożone na gazecie, widniały przeróżne smakołyki i pomarańcze, greckie orzechy, winogrona i wreszcie czerwona torebka z cukierni. Don Gaetano rzucił kawałek cukru na patelnię, poruszył go patyczkiem i dosłyszałem, jak mówił głosem, pełnym łagodnej perswazji: „che bella roba, che bella roba, quanto e buono questa latte con lo zucchero! Non piange, anima mia, adresso siamo pronti!" (Jakie dobre rzeczy, jakie dobre rzeczy, jakie pyszne mleko z cukrem! Nie płacz kochanie, już gotowe). Lekki szelest dał się słyszeć spod płaszcza i maleńka czarna rączka wyciągnęła się ku czerwonej torebce.

„Primo il latte, primo il latte" — pouczał stary. „Non importa, pigiia tu una", (najpierw mleko; nic nie szkodzi, weź sobie jeden) skruszył się natychmiast i wyciągnął duży palony migdał z papierowej torebki; mała rączka znikła i spod płaszcza rozległo się chrupanie. Don Gaetano nalał ciepłego mleka do kubka i tkliwie uniósł rożek płaszcza. Leżała tam mała biedna małpeczka o ciężko dyszącej piersi i oczach rozpalonych gorączką. Twarzyczka jej zrobiła się bardzo drobna, a cera szara jak popiół. Stary wziął zwierzę na kolana i czule, jak matka, wlał mu do ust parę łyżeczek ciepłego mleka".

Małpka, mimo pomocy Axela Munthe, zdechła. Niedługo potem nadeszła wiosna, autor tej historji opuścił Paryż i Bóg wie, co się stało z Gaetanem.

Pewnego dnia Munthe otrzymuje list od burmistrza małego miasteczka, który pisze, że po przeczytaniu o losach Gaetana, zniósł przepis, zabraniający muzykantom ulicznym grania na katarynkach na ulicy; zapowiedział też swoim dzieciom, żeby zawsze dawały kataryniarzom grosik, „bo może to właśnie don Gaetano".

W tym liście burmistrza znalazł Munthe usprawiedliwienie nowego wydania książki. Tego usprawiedliwienia nie potrzebuje jednak historja o Gaetanie, ani o marzycielu, zarabiającym klaką w teatrze, a piszącym niewystawione nigdy tragedje — są to najlepsze nowele i napisane tak, że nie powstydziłyby się ich i największe pióra.

Reszta opowiadań o biedakach, chorobie i nieszczęściu, z wyjątkiem może „Siostry Filomeny", jest dziełem współczucia, a nie talentu. Jeżeli czyta się je z zaciekawieniem, to dlatego, że Munthe, jako lekarz, w innych światłach widzi życie, niż my. Zazwyczaj w świetle gromnicy, rzucającej ostre cienie na twarz chorego. Że zaś biedak wzywa lekarza dopiero wtedy, gdy doktór spieszy jakby w wyścigu ze śmiercią, więc opowiadania Munthego muszą kończyć się zgonem bohaterów. Tak, jak u owego klakiera, co uśmiercał wszystkie postacie swej tragedji, a sam umierając, w malignie słyszał oklaski teatru, witającego premjerę jego sztuki.

Munthe jest smutny. Lekarza sceptyka i niedowiarka, przekonywującego się ciągle o bezsilności ludzi dobrych musi opanować smutek, gdy patrzy na niesprawiedliwość życia, na fałsz społeczny, na krzywdę, na zmarnowane ludzkie istnienia, na śmierć poczynającą się z zepchnięcia człowieka na poziom życia zwierzęcia.

Mimo to, wśród niezmiennie śmiercią kończących się opowiadań, jest jedno, w którem ostatnie zdania mówią o szczęściu. To śmierć Siostry Filomeny, szarytki, pielęgniarki chorych, umierających na cholerę.

„Bolesny cień na czole, który doktór znał tak dobrze, niknął z każdą chwilą, oczy zaś poczynały jaśnieć radością, o której życie ziemskie nie wie nic. Wtedy dusza dostała skrzydeł, a spokojność śmierci legła na obliczu. Ci, którzy stali dokoła, wiedzieli, że siostra Filomena jest szczęśliwa".

Szarytki były najlepszemi pomocnicami Munthego w walce ze śmiercią i nędzą. Siostra-Szarytka nie lękająca się śmierci i nie lękająca się ubóstwa najpożyteczniej służyła w szpitalu, najwięcej ocierała łez. To ma swoją wymowę. I charakterystyczne jest, że np. Morand w „France la Doulce" o laickiej, antyklerykalnej Francji, mówi: wolno u nas mówić, ile wlezie, na księży, ale broń Boże powiedzieć coś na szarytkę. Charité — zawsze znaczy miłosierdzie. Tego nie można zmienić.

Miłosierdzie jest w „Książce ludzi i zwierząt". Ten zbiór nowel, opowieści ma niewątpliwie taką właśnie tendencję. Miłość bliźniego. Jakaż może być tendencja szlachetniejsza? A jednak — jednak dziś, gdy tendencja społeczna stała się niemal obowiązkiem literatury, „Książka ludzi i zwierząt" jest ważnym przykładem i dowodem — cóż z tej książki pozostanie: historja Gaetana, bo ona jest l i t e r a t u r ą, a nietylko szlachetnym sądem, i dobremi chęciami. Gdzie, jak gdzie, lecz w literaturze chyba najwięcej „dobremi chęciami piekło wybrukowane".

*) AXEL MUNTHE: „Księga o ludziach i zwierzętach". Str. 262. Warszawa, 1934 r. J. Przeworski.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

W i z j e p r z y s z ł o ś c i

Ostatnie zawody Gordon Bennetta

Jak zwykle w okresie „circenses" tłumy, chciwe emocji, zapełniły lotnisko.

Bo też było na co popatrzeć. 50000 m³ świetlnego gazu po 79 groszy metr, wsączało się w kunsztownie impregnowane tkaniny, wydymając je w kształty kuliste i potężne. W miarę zaokrąglania się balonowych powłok, olbrzymiały na nich napisy, wywołując wśród patrzących szmery zachwytu. „Kościuszko" — o! to nasz, nasz... „Polonja" — to pewnie tak że polski... „Legjonowo" — o! ten to napewno nasz... Dalej wznosiły się balony zagraniczne: wydymał się i coraz to opadał angielski „Prosperity", tkwił na uboczu czeski „Gordon Benesz", pęczniał niepokojąco, austrjacki „Znak Zapytania", szarpał się na uwięzi niemiecki „Neue Kameraden", dalej piętrzył się dumnie włoski „Gordon Benito" i wreszcie kucał opodal świeżo przybyły palestyński „Gordon Beniek". Na gorące prośby hiszpańskiego aeroklubu dopuszczono również do zawodów spóźniony francuski balon „Barthou".

Poza konkursem miały lecieć: próbny balon polski „Genewa", w znanej obsadzie Beck, Raczyński.

Kiedy już gazownia warszawska została wysączona tak, że w całem mieście nie sposób było odsmażyć kotleta, balony poczęły się wznosić ku górze w odstępach 5-cio minutowych.

Wraz z nimi wzbijały się w powietrze wypuszczane przez młodzież szkolną, małe baloniki z doczepionemi pocztówkami, bańki mydlane, biustonosze, parówki, pulweryzatory i inne wyroby gumowe.

Zebrani na lotnisku oglądali z podziwem odrywające się od ziemi potężne globusy, zaopatrując lecących w przestworza komentarzami:

— Patrz pan, ten to jadzie w koszu od bielizny.

— A jak się ubrał, jakby nigdy nic, w żakiecie i w „denczaku".

— Wie pan, że taki balon z dołu, to wygląda bardzo nieprzyzwoicie.

— E, paniusia toby sama mogła wygrać puhar tego Gordon bandyty.

— To niby dlaczego?

— Ano z takiem biustem... ho... ho... to nawetby pompować gazu nie trzeba.

— Panie, pan jest sam pod gazem, aż bucha od pana spirt... odsuń się pan...

— Ano, ulatnia się droga pani... tylko 70 godzin podobnież gaz strzyma.

— Odczep się pan, powtarzam...

— Odejdź pan od niej — łagodzi sprawę trzeci obserwator — to jakaś dęta hrabina.

— Wszystko to razem jest dęte — reasumuje wreszcie czwarty na uboczu.

Tymczasem na lotnisku zaszedł żałosny incydent.

Oto szara powłoka balonu polskiego „Żyrardów", wypożyczonego Francuzom, wyślizgnęła się z rąk obsługi w trakcie nieudolnego napompowywania i nadmuchana zaledwie do połowy, pomknęła niesiona prądem wiatru w przestworza.

Aż przykro było patrzeć na tę rozdmuchaną dętkę, która przewalając się, kiełbasząc i sama siebie miętosząc, bujała luźno ponad kominami.

Tymczasem zwołane na plac Piłsudskiego (dawniej Saski) tłumy kombatantów, oczekiwały w natężonem skupieniu na pojawienie się balonu „Genewa". Pierwszy zawisł nad placem balon „Kościuszko", przywitany dźwiękami znanej piosenki „Patrz Kościuszko na nas z nieba", a wślad za nim ukazał się lecący poza konkursem próbny balon „Genewa". Wzbijał się wspaniale w górę, a wraz z nim entuzjazm byłych kombatantów. Widok był naprawdę piękny, lecz krótki, bo oto nagle pod naporem wiatrów, pękła słaba powłoka i balon zaczął opadać.

— Oj, coś niedobrze z tym balonem — zaszemrano w tłumie.

Zaskoczony tem pilot Beck, usiłując złapać równowagę, schwycił za pierwszy z brzega worek z balastem i sypnął piaskiem w oczy entuzjastów. Nie nawiele się to zdało, tłum szemrał dalej, a balon z rozdartą powłoką opadł bezradnie na dach MSZ-etu. Zawodników szczęśliwie odratowano i dostarczono im natychmiast nie pierwszej pomocy. Do późnego wieczora mieszkańcy naszego miasta podziwiali wschodzące nad Mokotowem, a zachodzące za Pragą szare i bure planety.

Nazajutrz poczęły napływać radjowe meldunki:

Wszystkie balony przebyły granice Litwy i Sowietów, przyczem balon „Kościuszko" został przywitany entuzjastycznie przez naszych sąsiadów, którzy nie posiadając się z radości, strzelali na wiwat, mierząc w powłokę balonu.

Gołębie pocztowe nie nadlatywały. Stolica pogrążyła się w dławiącem wyczekiwaniu.

— Gdzie są? Dokąd dolecą? Czy aż za Uralskich gór krawędzie?— pytano się wzajemnie, bez odpowiedzi. Dalsze godziny upłynęły bez żadnych konkretnych wiadomości. Niby widziano ich tu, niby ówdzie, ale nie było to nic pewnego i żaden balon nigdzie nie wylądował.

Mieszkańcy stolicy błądzili tam i sam, pełni niepokoju.

Nic im się nie kleiło, wszystko leciało z rąk. Stróże drzemali przed niezamiecionemi bramami, posterunkowi wpadali pod pojazdy, kominiarze marzyli, wpatrzeni w czarne czeluście, a kucharki przypalały razporaz kartoflankę. Gołębie wciąż jeszcze nie nadlatywały. Ostatni radjowy meldunek donosił, że widziano balony w okolicach Witebska, na wysokości 16.000 metrów i że wznosiły się ciągle w stratosferę. Upłynęło 70 godzin możliwych dla utrzymania się balonów, ale, o dziwo, żaden nie wylądował.

Po kilku dniach wszystkie stolice Europy zaczęły się niepokoić i domagać prawdy.

Wszczęto energiczne poszukiwania, zaalarmowano wszystkie radjostacje i obserwatorja. niestety, bezskutecznie, po balonach ślad wszelki zaginął.

Wreszcie po kilku tygodniach włościanie z okolic Miechowa napotkali na drodze jakieś drepcące przez kałużę stworzonka.

Były to owe upragnione pocztowe gołębie. Widocznie zawodnicy nie zdołali przewidzieć, że biedne ptaki przywędrują na piechotę.

Odbyły widać bardzo długą drogę, gdyż utytłane w błocie kartk meldunkowe, były niemożliwe do odczytania.

Ostatnia nadzieja okazała się płonną. W rok później astronomowie odkryli 16 nowych planet, krążących wkoło Jowisza. Powstała nawet śmiała supozycja, że są to zagubione balony, niestety, znaleźli się natychmiast uczeni, którzy obalili tę romantyczną tezę.

Na tem się zakończyły ostatnie zawody Gordon Bennetta. I cóż poczniemy teraz biedne sierotki? Komu wręczymy niezdobyty puhar? Czy będziemy się truć ze zmartwienia gazem świetlnym, czy może lepiej napełnimy puhar Gordon Bennetta balonem piwa i wychylimy go za zdrowie tych, którzy, oderwawszy się od brudnej powłoki ziemskiego globu, udali się w czystsze, wyższe regjony.

Janusz Minkiewicz

Krótkie wiersze o długich tytułach

1.

WEZWANIE OPORNEGO PRZYJACIELA DO POPIERANIA POLSKIEGO AEROKLUBU, SPOWODU PONOWNEGO NASZEGO ZWYCIĘSTWA W ZAWODACH BALONOWYCH

Jeszcze jeden rok lub
Polski Aeroklub!

2.

MARZENIE MIŁOŚNIKA SPORTU TENNISOWEGO. PODCZAS WYSTĘPÓW SŁYNNEGO BOROTRY NA KORTACH „LEGJI" W WARSZAWIE

Niech się chociaż otrę:
Otrę o Borotrę!

3.

SATYRA NA RADĘ LIGI NARODÓW, KTÓRA NIEDAWNO BYŁA WIDOWNIĄ BUŃCZUCZNEGO, LECZ NUŻĄCEGO PRZEMÓWIENIA PEWNEGO DELEGATA

Rada, rada nie rada,
Musi słuchać, co on gada!

4.

FRAGMENT Z ROZMOWY DWÓCH ARYSTOKRATÓW ANGIELSKICH O UBOLEWANIA GODNYCH WYPADKACH, MAJĄCYCH OSTATNIO MIEJSCE W ŁONIE POLSKIEJ KONSERWY

— Czy już drogi sir wie
O NIEŚWIEŻej konserwie?

5.

PASZKWIL NA WSPÓLNIKA OSŁAWIONEGO BOUSSACA — NIEJAKIEGO PANA AUPETIT — NAPISANY TYLKO DLA ZNAWCÓW PIĘKNEJ MOWY FRANCUSKIEJ

Ce petit Aupetit
A grand apetit,

— oOo —

ODPOWIEDZI DZIAŁU SATYRY

P. Światopełk Karpiński wm. Zapytuje pan, kto to jest ta pani Krzywicka, której nazwisko tak często powtarza się w satyrach Janusza Minkiewicza? Odpowiadamy: jest to chroniczna reporterka i recenzentka. Pisuje po różnych tygodnikach. W gazetach też ją czasem umieszczają. Podobno uczennica Jadwigi Migowej. Ostatnio zbyt często przesiadywała w „Ipsie". Wobec tego „Ips" zamknięto na czas nieograniczony. Ta pani okazała się już zanadto wś-ips-ka!

P. „Stroskana". Garwolin. Skarży się pani, że przez pani radjoodbiornik słychać tylko radjostację warszawską. Jak temu zaradzić? To proste. Należy uziemić antenę, a jeśli i to nie pomoże, rozebrać aparat na drobne kawałki, zdemolować akumulator i wszystko to spalić a następnie zakopać w ziemię.

„Ciekawemu". Słyszał pan następującą anegdotkę: „Pewnej pani, po przeczytaniu książki Boy'a p. t. „Mózg i płeć" — płeć rzuciła się na mózg". Pyta pan, czy chodzi tu o panią Krzywicką?

Niestety, nie jesteśmy w tych sprawach kompetentni. Nie zajmujemy się płcią, sex'em, erotyka, zmysłami, popędami i mykwą. Radzimy poinformować się w tej sprawie u pani Wandy Melcer.

Królowi Ludwikowi jedenastemu (adres niepodany!). Na naszym onegdajszym seansie spirytystycznym zapytywał pan (a raczej pański duch), dlaczego nad pańską dawno zmarłą osobą znęcają się w teatrze kakatyści, jakim sposobem wpadł pan w szpony kakaty? Niestety nie możemy na to odpowiedzieć, bo poprzysięgliśmy sobie nie pisać już więcej o Kadenie. Przynajmniej na pewien czas wszyscy muszą odpocząć: Kaden, czytelnicy i my...

Młodocianej czytelniczce z Leśnej Podkowy. W swoim miłym liściku pytasz nas, koteczku, ktoby ci mógł ofiarować małego kotka?

Damy ci dobrą radę. Pójdź dziecino do pewnej dobrej kociej mamy, która nazywa się pani Krzywicka. Znana to przyjaciółka kotów. Hoduje je, kocha i swoim kotkom każe się także kochać. Toteż pewnie u niej małych kotków coniemiara! Bo te kotki to chyba jedyne na ziemi istoty, którym dobra pani nie doradza używania środków zapobiegawczych. Pewnie nie wiesz, skarbie, co to znaczy: środki zapobiegawcze? Nie bój się! Dobra pani napewno wszystko ci wytłumaczy. A bądź tylko grzeczna, słuchaj jej uważnie, nie sprzeciwiaj się, bo w przeciwnym wypadku zacznie na tobie wieszać koty!

P. Tacjanna Szapiżyna, al. Ujazdowskie 33. Pisze pani, że mówiono o nas w Ziemiańskiej, iż endecy dali nam po 10.000 zł. do łapy, że co noc bierzemy udział w czarnych mszach odprawianych w mieszkaniu posła Strońskiego, że Nowaczyński co rano spaja nas do nieprzytomności, że przygotowujemy parę pogromików w Alejach Ujazdowskich, że co wieczora modlimy się do Hallera, specjalny paciorek poświęcając Rybarskiemu...

Stwierdza pani, że to mrozi krew w żydach. Pyta pani czy to prawda?

Kto wie, kto wie, moja pani?... A może wogóle jesteśmy na usługach Paryża i Moskwy?...

„Zaniepokojonemu" z Tamki. Czytał pan „artykuł" p. Krzywickiej, w którym ta pani pisze o naszym współpracowniku p. Minkiewiczu m. in., że to jest „bardzo młody człowiek". W związku z tem zapytuje pan nas, w jakim wieku jest p. Krzywicka.

Zainterpelowany przez nas w tej sprawie Janusz Minkiewicz oświadczył, co następuje:

— Zbyt dobrze jestem wychowany, abym mógł mówić o wieku kobiety. Ograniczę się więc tylko do stwierdzenia, iż choć jestem conajmniej trzy razy młodszy od JWPani Krzywickiej, nie mogłaby jednak zostać ona — moja babka — aryjką!